Nr. 281. Lwów — Czwartek dnia 5 Grudnia. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na Prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jako o zareczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje BIURO DZIENNIKÓW ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: pt. św. Sabby Op. gr. k. Amfytakia
Jutro: sb. św. Mikołaja Kateryny

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 7 m. 40
Zachód „ „ 4 „ 0

Długość dnia g. 8 m. 20
Ubyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 4 grudnia.

Wzniosłem zadaniem Apostolskiej Stolicy było zawsze głoszenie pokoju i stawanie w obronie uciśnionych, a w miarę, jak katolickie uczucie zaczęło się wzmagać na nowo we wszystkich społeczeństwach, jęto tu i ówdzie coraz częściej podnosić myśl, że Papież powinien być stałym sędzią rozjemczym we wszystkich międzynarodowych sporach. Jest to jednak kwestyą przyszłości, a dziś jeszcze trzeba się tylko tem zadawalniać, że pożyteczność takiego sądu coraz bardziej przenika do samowiedzy narodów. Zanim największe zagadnienia polityczne zaczną się opierać o trybunał rzecznika miłości bliźniego, Papież wedle możności już spełnia tę misyę pokojową bez urzędowych tytułów i godności uznanego rozjemcy. Więc też zdawna mówiono, że w sprawie ormiańskiej jest Leon XIII bardzo czynny, chociaż nie bierze udziału w żadnym koncercie mocarstw, ani w żadnym ambasadorskim pomyśle, mającym jak dotąd daremnie uspokoić zawieruchę na Wschodzie. Co o tem mówiono, to potwierdził teraz Leon XIII w ostatniej swej allokucyi, ogłoszonej w Rzymie w sobotę, a wypowiedzianej dzień przedtem na Konsystorzu. Okazuje się tedy, że sprawiedliwem i równie dla Turcyi jak dla Ormian życzliwem załatwieniem tej sprawy zajmował się Papież już wtedy, gdy mocarstwa jeszcze nie pomyślały o gaszeniu pożaru. Allokucya głosi: „Cała Europa spogląda z niepokojem i trwożnem oczekiwaniem na sąsiedni Wschód, którego położenie tak bardzo się zachmurzyło przez bolesne wypadki i różnego rodzaju wewnętrzne przeciwieństwa. Żałośny i straszliwy widok przedstawiają tamtejsze miasta i wioski obryzgane krwią i rozległe obszary obrócone mieczem i ogniem w pustynię. Podczas gdy zwierzchnicy państw w sposób najbardziej godny uznania zjednoczyli się i opracowują rady, jak rzeziom zapobiedz a przywrócić pożądany spokój, my, o ile to było w naszej mocy, nie przestawaliśmy popierać tej sprawy równie wspaniałomyślnej, jak sprawiedliwej. Od samego początku zajść, które teraz tak wybujały, gorliwie i usilnie przemawialiśmy gdzie należy na korzyść Ormian, przedstawiając ich zwierzchnikowi, że przedewszystkiem potrzebna jest wyrozumiałość i łagodne zastosowywanie słuszności. Jesteśmy pewni, że te rady nie były źle przyjęte i jak się zdaje, nie chybiłyby celu. I teraz chcemy dalej prowadzić rozpoczęte dzieło, ponieważ najbardziej upragnionem życzeniem naszem jest, aby bezpieczeństwo życia i wszystkie prawa w rozległem cesarstwie tureckiem były w sposób pożądany strzeżone i utrwalone. Tymczasem jednak postanowiliśmy okazać miłosierną pomoc tym Ormianom, którzy ucierpieli najdotkliwiej i są w wielkiem ubóstwie“.

Z tego oznajmienia wynika, że oprócz „koncertu“ mocarstw, działającego bądź co bądź jednostronnie, bo tylko na rząd turecki, zdawna pracował i pracuje jeszcze czynnik, całkiem bezstronny, a wpływający życzliwemi radami i na Ormian i na sułtana. Te rady — mówi Papież — nie były źle przyjęte i pewnie nie chybiłyby celu. A jednak chybiły. Dlaczego tak się stało, o tem Papież nie wspomniał ani słówkiem, lecz łatwo się tego domyślić. Oto, lepiej, aniżeli ewangeliczne słowa pokoju, działały ukryte sprężyny polityczne, poruszane rękami Anglików, jak mówią jedni, Rosyan, jak utrzymują inni, — tych i tamtych, jak najpewniej było. Bo chociaż gęsta zasłona pokrywa jeszcze przyczyny rozruchów i następnego rozwoju sprawy tureckiej, jednak już można utrzymywać, że z razu Anglia podsycała płomień ormiański, aby z niego wynikła sprawa trudna dla Rosyi, a następnie carat zręcznie pokierował wypadkami, aby się obróciły na jego korzyść, w końcu zaś wyrosło z tego takie powikłanie, że sprawa ormiańska zmieniła się w turecką, we wschodnią w całej jej okazałości, a wówczas — może już po niewczasie — i Anglia i carat i wreszcie cała Europa zaczęła gasić pożar, bo na amputacyę Turcyi wszyscy byli dość przygotowani, lecz nie byli przygotowani na zupełne pokrajanie tego państwa. Teraz istnieje szczera chęć załatania tej sprawy wschodniej — bodaj do wiosny, jak oświadczył jakiś berliński dyplomata korespondentowi *Petersburger Zeitung* — obok innej szczerej chęci: zajęcia jak najwygodniejszej pozycyi w Konstantynopolu i na Egejskiem morzu na wypadek, gdyby łatanina się nie udała. Widoczne jest, że akcya każdego mocarstwa z osobna i przez to samo wszystkich razem odbywa się w tych dwóch kierunkach, ale przyznać trzeba, że głównym celem jest załatanie kwestyi. Pod tym względem jedne tylko Włochy zajmują nieco inne stanowisko. Zawierucha ogólna dla nich najmniej groźna, a pokrajanie całej Turcyi daje im nadzieję zaboru Trypolidy — ostatniej prowincyi tureckiej na północnym brzegu Afryki. Dlatego to zaczęto mówić o tem, że w trójprzymierzu istnieje w gruncie rzeczy głęboko ukrywana niezgodność pragnień, bo kiedy Austrya i Niemcy usilnie starają się utrzymać Turcyę, Włochy w głębi ducha marzą o takim obrocie wypadków, aby Trypolida przeszła pod rządy króla Humberta. Mówiono o tem tak często, że w końcu Crispi postanowił wyprzeć się tych zamiarów i oznajmić w parlamencie, iż celem jego pokój i solidarność z Europą, chociaż w razie wojny Włochy zabezpieczą swe prawa. Jakie prawa, gdzie na Wschodzie są one narażone? Może to raczej nie „prawa“, lecz apetyty na Trypolidę? W każdym jednak razie Crispi publicznie oznajmił, że idzie z Europą i to przyjęto wszędzie z zadowolnieniem. Ale nie zwrócono uwagi na to, że wykrztusiwszy z konieczności takie przyrzeczenie, Crispi musiał być jednak rozżalony na wszystkie pokojowe usiłowania, bo kiedy nie mógł wszystkich zganić, to przynajmniej rzucił się na watykańskie, i z goryczą zawołał, że wzrost katolickiego uczucia daje ogromną i niepożądaną siłę papiestwu. Znać ono skutecznie działało na Wschodzie, skoro mówiąc wyłącznie o sprawie tureckiej, Crispi przypomniał sobie Watykan i ugryzł go jadowitym zębem. Nie był to objaw jego znanej idyosynkrazyi, lecz raczej stary mason nie mógł się powstrzymać od gniewu, że cele Apostolskiej Stolicy wszędzie się rozchodzą z celami Włoch crispiowskich.

Allokucya papieska oznajmiła jeszcze, że dla wyznania koptyjskiego, do którego należą Abisyńczycy i które w Rosyi jest uważane za nieco zepsute prawosławie, postanowił Papież stworzyć osobny patryarchat z siedzibą w egipskiej Aleksandryi. To znowu będzie ogromną przeszkodą dla rosyjskiej propagandy, bo rzecz jasna, że rodzima ierarchia kościelna skuteczniej będzie wpływała na koptów, aniżeli działalność petersburskiego synodu. Stąd w Rosyi niezadowolnienie z allokucyi — i tak Crispi znalazł się ręką w rękę z Pobiedonoscewem.

Poruszono w Petersburgu myśl, że koniecznie potrzeba stworzyć dla floty rosyjskiej skład węgla na archipelagu indyjskim, gdzieś w pobliżu angielskich Indyi. Rzeczywiście jest to potrzeba ekonomiczna. Statki rosyjskie, płynące z Odesy, albo Kronsztadtu do wybrzeży wschodniej Syberyi, muszą okrążać od południa całą Azyę i wszędzie po drodze kupować węgiel, co zawsze drogo i niewygodnie, a w razie jakichś trudności politycznych może się stać przeszkodą dla żeglugi. Zabrać węgla na całą tak daleką drogę niepodobna, więc dopóki żegluga rosyjska z Europy na daleki Wschód była niezbyt ożywiona i dopóki kopalnie węgla były tylko w Indyi, Australii i Japonii, a także na chińskiej Formozie, dopóty Rosya nie zastanawiała się nad urządzeniem własnego składu węgla, bo onby był niepożyteczny. Ale odkąd Formoza przeszła pod panowanie japońskie, a więc odkąd cały węgiel w tamtych stronach stał się własnością możliwych nieprzyjaciół Rosyi, ona zaczęła myśleć o zabezpieczeniu dla siebie paliwa, bez którego na nic największa eskadra. Trafia zarządził, że kilka tygodni temu na wyspie Sumatrze, należącej do Holandyi, odkryto ogromne pokłady doskonałego węgla. Więc zaraz w Petersburgu powzięto myśl nabycia od Holandyi małej wysepki Way, w sąsiedztwie Sumatry i urządzenia na niej stacyi węglowej. Oczywiście, taka stacya musi mieć wygodny port, łatwy do obrony za pomocą nadbrzeżnych fortyfikacyi, a także słodką wodę, której statki tak samo potrzebują dla załogi, jak węgla dla maszyn. Otóż wysepka Way, znana w geografii pod nazwą Pulu-Way, ale Pulu po malajsku oznacza wyspę, posiada wyborną zatokę, otoczoną wzgórzami, a w głębi lądu jezioro słodkiej wody i ludności tak mało, że Holandya nie ma żadnej korzyści z tej kolonijki. Rząd rosyjski podobno gotów dobrze za nią zapłacić, a nadto zobowiązać się kontraktami, iż wszystek węgiel potrzebny dla statków przepływających amtędy i dla całej eskadry oceanu Spokojnego będzie brała z niedawno odkrytych kopalni na Sumatrze. Są to warunki bardzo korzystne dla Holandyi, ale pomimo tego zapewne ona nie zgodzi się na ten interes, bo podobno Anglia potajnie oświadczyła w Haadze, iż nie może zezwolić na to, aby tuż pod Indyą powstała agitacyjna misya rosyjska. Po kilku lub kilkunastu latach zwykła stacya węglowa zmieniłaby się w silną twierdzę, cała wyspa przekształciłaby się w gromadę koszar, a to byłoby bardzo niemiłem sąsiedztwem dla Indyi, z którymi od północy już prawie stykają się posiadłości rosyjskie. Takie przedstawienie ze strony Anglii będzie naturalnie decydującem dla holenderskiego rządu.

Korespondencye.

Londyn 27 listopada.

(*T.*) Kwestya wschodnia stoi ciągle jeszcze na pierwszym planie i prawdopodobnie upłynie nie mało czasu, zanim się ten stan rzeczy zmieni. Istniały tu obawy że w razie odrzucenia przez sułtana propozycy jednozgodnej mocarstw co do podwojenia ich sił morskich na wodach Stambułu, kryzys wybuchnie nieodwołalnie. Ambasador angielski, sir Filip Currie, którego urlop w tych zawikłanych stosunkach był trudny do usprawiedliwienia, powrócił pospiesznie na swoje stanowisko i depesze przynoszą nam wiadomość pożądaną, że Porta w ostatniej chwili zgodziła się na żądanie zjednoczonej Europy (?). Jest to nie tylko sukces dyplomatyczny, nie tylko symptomat zapowiadający mniejsze naprężenie stosunków, ale jednocześnie zwiększona doza bezpieczeństwa dla biednych prześladowanych chrześcijańskich mieszkańców Turcyi. Los tych ostatnich nie przestaje żywo zajmować społeczeństwa angielskiego. Jako dowód tego przytoczyć można, że komitet, zbierający składki dla Ormian, zebrał dotąd 13.000 f. szt. i że składki po tysiącu fantów przychodzą od bogaczy. Ten czynnik moralny, to współczucie dla prześladowanych chrześcian, stanowi, jak to wykazywałem już poprzednio, charakterystyczny rys agitacyi angielskiej. Ponieważ nie ma najmniejszego śladu ruchu tego rodzaju we Francyi, Francuzi podejrzywają, niesprawiedliwie zupełnie, szczerość tego ruchu w Anglii i widzą w nim intrygi rządu angielskiego. Ci, co są tu na miejscu i mają sposobność przekonać się dokładnie jak rzeczy stoją, są obowiązani stwierdzić, że co do uregulowania kwestyi wschodniej, opinia narodowa w Anglii jest daleko radykalniejszą od postawy rządu i że ten ostatni pod jej naciskiem działa.

Ta ostrożność rządu, świadomego swej odpowiedzialności, jest do zrozumienia łatwa. Społeczeństwo za to puszcza ciągle wodze swej fantazyi. Nie ma dnia, ażeby ten lub ów organ prasy nie przyniósł nam projektu rozbioru Turcyi. Anglicy, którzy byli z tradycyi orędownikami Turcyi i którzy ochraniali ją przed napastniczemi zachciankami Rosyi, przerzucili się stanowczo do przeciwnego obozu. Pisałem w ostatnim mym liście o coraz wyraźniej objawiających się sympatyach angielskich do Rosyi. Ale widocznie nawet sympatye te nie są w stanie ani zatrzeć całkowicie wiekowych tradycyi, ani stłumić silnie wyrobionego poczucia własnego interesu. Dowodzą tego właśnie owe liczne plany i projekta rozbioru Turcyi. Chociaż w teoryi Anglicy uznali już, że najbliżej zainteresowaną jest w sprawie tureckiego spadkobierstwa Rosya, to jednak kreśląc podział owej spuścizny, okazują się dla niej bardzo skąpymi.

Ograniczymy się do planu, sformułowanego w tym przedmiocie przez p. F. S. Stevensona, wybitnego członka parlamentu, a jednocześnie wpływowego członka w komitecie anglo ormiańskim. Otóż Stevenson nie tylko nie daje Rosyi Konstantynopola, który zostanie wraz z 12-sto milowym okręgiem zamieniony na miasto wolne pod gwarancyą i administracyą Europy, ale, dając jej część azyatyckiej Turcyi, nie pozwala jej zbliżać się do morza Śródziemnego. Nadbrzeżną częścią morza Śródziemnego obdarza Stevenson Austryę, ale za to pozbawia ją miasta Saloniki, którego przyłączenie zdawało się już rzeczą postanowioną. Półwysep bałkański podzielony ma być podług tego planu pomiędzy Grecyę, Bułgaryę i Serbię. Francya otrzymuje Syryę, Włochy Tripolis, a Niemcy — nic! O Anglii naturalnie nie zapomina Stevenson i nie tylko przysądza jej Egipt, ale i Arabię, która posiada pierwszorzędne znaczenie, jako kraj przeznaczony do zapewnienia lądowej komunikacyi z Indyami.

Przytoczyłem ten projekt rozbioru Turcyi dlatego, aby wykazać w jakiej sferze obracają się tutejsze umysły i jak daleko pozostawiły po za sobą rzeczywistość. Stary Rustem basza, długoletni ambasador turecki w Anglii, którego pogrzeb odbył się dzisiaj, umarł w samą porę dla siebie. On, przywykły do względów, jakie Anglia okazywała jego monarsze i krajowi, nie byłby mógł spoglądać obojętnie na pogardę i niechęć, z któremi się teraz spotyka Porta.

Nie tylko zagraniczna polityka zaprząta w tej chwili sfery rządowe. Zbliża się sesya parlamentu i trzeba przygotować dla niej cały szereg prawodawczych projektów. Mimo tajemnicy, w jakiej się ona trzyma, wiadomem jest, że na pierwszej zaraz sesyi rząd zajmie się reformami, które mają zażegnać chroniczne cierpienia rolnictwa, a następnie przedłożyć nowy plan powiększenia marynarki wojennej.

Jakie środki przedsiębrane zostaną co do ulżenia ciężkiej sytuacyi rolnictwa, trudno zgadnąć. Z góry jednak można przewidzieć, że nie odpowiedzą one wygórowanym oczekiwaniom, jakiemi się łudzi opinia. Rolnicy nie przestają domagać się cła protekcyjnego na zboże zagraniczne, a na to rząd się zgodzić nie może. Otwarcie wyznał to lord Salisbury w tych dniach deputacyi angielskich producentów chmielu, którzy w obec spadających cen tego produktu, niezbędnego dla produkcyi piwa, zażądali cła ochronnego, obciążającego chmiel zagraniczny. Chociaż wielkie kapitały włożone są w tę gałęź produkcyi rolniczej, uprawianą w południowych hrabstwach, lord Salisbury stanowczo odmówił żądaniu deputacyi, zwracając jej uwagę na to, że nie byłoby w takim razie sposobu odmówienia go wytwórcom zboża, i t. d. Ekonomiczny ten aksiomat nie przypadł deputacyi do smaku, mimo swego zupełnego uzasadnienia. Jest widocznem, że paliatywa, które rząd przedłoży izbom, nie wyrugują zakorzenionego zła. Rolnicy nie przestaną sarkać na rząd, przeoczając to, że właśnie oni sami tylko mają zbawcze środki w swych rękach przez zdwojoną pracę i racyonalną, postępową, naukową gospodarkę, której tu dotąd jest daleko mniej, niżby to z pozoru przypuszczać się miało prawo.

Projekt powiększenia marynarki wojennej wywołał rodzaj osłupienia publiczności. Za ostatniego gabinetu lorda Salibury, p. [illegible] przeprowadził już był kolosalnymi wydatkami wsparty projekt budowy okrętów, który przedstawiony został krajowi jako ostatnie słowo postępu. Ministeryum liberalne, które objęło po nim ster, dzięki agitacyi ultrapatryotów zmuszone było wydać nowe sumy na marynarkę, na forty i na rynsztunki wojenne. A oto rząd zachowawczy zapowiada z góry, że wszystkie ofiary kraju, wszystkie wysiłki już uczynione nie wystarczają i że do zrobienia jest jeszcze wiele, nadzwyczaj wiele, poprostu wszystko! Ze zdumieniem zapytać się można, gdzie będzie kres tego sypania milionów w bezdenne fale morza. Jeżeli Anglicy chełpią się z obszarów swego kolonialnego państwa, to równocześnie coraz dotkliwiej odczuwają ile ich utrzymanie tej dumy narodowej kosztuje.

Rząd czuje, że pigułka nie będzie do połknięcia łatwa. Używa tedy zawczasu rozmaitych środków do przygotowania opinii publicznej, do jej rozgorączkowania. Za inicyatywą kilku osobistości, stojących blisko rządu, utworzyła się świeżo „Liga marynarki“, mająca na celu propagandę w kierunku powiększenia i wzmocnienia sił morskich W. Brytanii. Godłem tej ligi jest: „bezpieczeństwo (Anglii) i zwierzchnictwo“ (chyba nad światem). Popularność zdobyła sobie od pierwszej chwili taką, że obecnie utworzono już oddzielny jej dział dla kobiet, tyle się ich zapisało na członków. Można

---

Feljeton literacki.

„Australczyk“. Powieść Elizy Orzeszkowej. Petersburg, nakładem księgarni Grendyszyńskiego, 1895.

Bezwzględni wyznawcy zasady: sztuka dla sztuki, potępiają wszelką tendencyę w powieści. Niech nam, powiadają, autor stworzy charaktery żywe i prawdziwe, niech osnuje fabułę na tle rzeczywistem, niech się wyłącznie nie powoduje fantazyą, bierze w rachubę realne życie, niech odczuwa tętno społeczne, pozostaje wiernym psychologicznej prawdzie, niech będzie artystą w każdym calu, a wówczas z utworu jego wypłynie tendencya, tak, jak wypływa z obserwacyi życia, ale nie będzie ona czemś z góry naznaczonem, naciąganem, służącem do odegrania roli raczej moralizatorskiej i kaznodziejskiej, wreszcie agitatorskiej, niż artystycznej i twórczej. Powieść tendencyjna „cierpiana“ być jeszcze może w zakresie pedagogicznym, a więc w utworach, przeznaczonych dla dzieci, dla młodocianego wieku, dla ludu, gdzie pod tą przystępną formą chce się wypowiedzieć swoje uwagi, przestrogi, nauki i t. d., jednem słowem, oddziałać w kierunku etycznym, naukowym lub nawet reformatorskim na swoich czytelników, lecz charakter społeczny i współczesny powieści wyklucza z niej absolutnie wszelką uprzednio powziętą tendencyę. Tutaj autor podobny będzie do znachora, który tajemniczymi specyfikami i zamówieniami usiłuje leczyć rzeczywiste choroby i bolączki.

Gdybyśmy nawet tak surowymi i bezwzględnymi byli dla powieści tendencyjnej, to pomimo tego, nie wahamy się rozgrzeszyć Orzeszkowej za jej „Australczyka“, który niezaprzeczenie jest utworem tendencyjnym, a przytem jednakże posiada wysoką wartość artystyczną, która mu zapewnia jedno z najzaszczytniejszych miejsc w naszej beletrystyce. Bo czyż podobna wielkiej powieściopisarce i artystce czynić zarzut, że uległa tendencyi, wtenczas kiedy ona tętniała naokoło niej zewsząd? kiedy ją niósł każdy strumień, kiedy biegła ku niej od pól i lasów, kiedy drgała w powietrzu? kiedy ją przedewszystkiem czuła na dnie własnego serca i duszy? Orzeszkowa zbyt głęboką jest znawczynią współczesnego społeczeństwa, żeby nie zrozumiała, iż po nad żądzą dostatków i używania, czyli jak nazwała w swojej powieści, po nad „gonitwą za pasztetem“, wypływającą z prawa cywilizacyi, istnieje prawo święte, nakazujące poświęcenie, a więc wbrew nawet tamtemu umiłowanie prostoty, ubóstwa, niedostatku i pracy ciężkiej, skromnej, cichej, a jednak bogatej w owoce etyczne.

Ikarya, do której właśnie nas wprowadza znakomita powieściopisarka, oparta jest na cnocie, na miłości bliźniego, na pokorze, na wyrzeczeniu się, na poczuciu obowiązków, jakie na przewodnich warstwach społecznych ciążą względem ciemnego gminu — a pomyślaną trochę *à la Tołstoj'enne*, z tą jednak różnicą, że autorka odrzuca ostateczne konkluzye, jakie „cudowny owczarz z Tuły“ logicznie wysnuwa ze swych etycznych i socyalnych założeń. Innemi słowy: zalecając powrót do ewangelicznej prostoty i purytańską iście abnegacyę, nie potępia pani Orzeszkowa postępu, ni oświaty, nie potępia zaś dlatego, ponieważ z realnych okoliczności wypływająca tendencya nakazuje jej w danym wypadku zawiesić prawo cywilizacyi, a nawet iść wbrew niemu.

Fabuła powieści jest nader prostą. Autorka prowadzi nas w jakiś kąt zapadły kraju, gdzie młode pokolenie większych posiadaczy nie może już odpowiednio swym pragnieniom istnieć na odziedziczonej, a skutkiem podziałów znacznie uszczuplonej ojcowiźnie. Wszystko to młodzi ludzie wykształceni, pełni energii i przedsiębiorczego ducha; żywiąc tedy nadzieję późniejszego w strony rodzinne powrotu, rozpierzchli się po szerokim świecie, szukając chleba, czyli — jak się jedna z osób powieści sarkastycznie wyraża — „pasztetu“.

Na opuszczonym „posterunku“ pozostał tylko jeden, Stefan Darnowski, zadawalniając się tym skromnym kawałkiem chleba, którym go darzy niwa rodzinna, użyźniona znojem własnej jego skroni. Dostatek, potęga, ba! nawet i nauka nie nęcą go wcale; o tej ostatniej mówi z pewnem lekceważeniem, że jest „towarem jeno, który się wywozi na rynek i sprzedaje w zamian za kawałek pasztetu“. Wprawdzie i on także odebrał wyższe wykształcenie i jest nawet magistrem jakiejś tam nauki, lecz z wiedzy swej nie pragnął wyciągnąć sławy, ni korzyści dla siebie. Jedyną jego ambicyą jest być dla swego otoczenia ową „lampą“, która wniesiona do ciemnego pokoju orzeźwia i rozwesela tych, co tam pierwej byli pogrążeni w smutku i ciemności“ — jedyną troską: dźwigać wiernie wespół z innymi brzemię cierpienia. By zaś nietylko słowami uczyć, lecz i przykładem, — a zarazem w sobie pokonać „pysznego pana“, bierze on narówni z chłopami własnoręcznie udział we wszystkich gospodarskich robotach.

Poglądy Stefana podzielają w zupełności: ojciec jego Romuald, zacny, rzeźki i dowcipny staruszek, oraz kuzynka Irena, wychowanka pana Romualda, młoda i przystojna purytanka, wnosząca w szare nieco życie tych ludzi jasny i ciepły promień kobiecego wdzięku. Do nich się przyłącza Kazimierz Domunt, który wybrawszy się wraz z innymi w świat „za pasztetem“, powrócił złamanym rozbitkiem w rodzinne strony. Uratowany przez Stefana od samobójczej śmierci, przejął się całkiem ideami swego zbawcy i szuka ukojenia w twardem a pracowitem życiu. Wszyscy oni pracują ręcznie, wszyscy ożywieni tym samym duchem wyrzeczenia się i ofiary, widzą w tych, co w świat poszli szukać „pasztetu“, samolubów i jakby dezerterów, zbiegłych z placówki.

Do tego purytańskiego falansteru zjeżdża bohater powieści Roman Darnowski, bratanek i wychowanek pana Romualda. Ukończywszy świetnie szkoły, młody, przystojny, wykwintny, rozchwytywany w świecie, w który go wprowadziła bogata i wpływowa krewna, uzyskał dzięki jej protekcyi wysoką posadę w jakiemś o półtora tysiąca wiorst odległem mieście, która to posada ma być dla niego pierwszym szczeblem do świetnej karyery. Zamierzając udać się na miejsce swego przeznaczenia, bez uciechy, trochę zasmucony tak dalekiem wygnaniem, trochę zniechęcony do tego wielkoświatowego życia, którego nicość poznał dokładnie, trochę stęskniony za „swoimi“, głównie za Ireną, byłym ideałem jego młodocianych rojeń, postanawia wpierw odwiedzić strony rodzinne, których nie widział od lat wielu — wielu.

Wpada tam oczywiście, „jak żaba z chmury“, zdziwiony przeobrażeniami, jakim tam uległy formy życia, nierozumiejący tych ludzi zasklepionych w swym purytanizmie i wiodących dobrowolnie żywot niemal prostaczy, chłodno przez nich przyjęty. Liczne zapytania, któremi ich zasypuje, zjednały mu ze strony Bronci, małej córeczki, miano Australczyka, świadczące najlepiej, jak wielce obcym się stał swemu otoczeniu, jak dalece między nim a tymi ludźmi zerwane zostały wszystkie mosty.

Powoli jednak oswaja się Roman z dziwactwami swych gospodarzy. Zasłuchany w poufne gwary rodzinnych pól, zapatrzony w czarne oczy Irusi, ulega czarowi, którym go pęta cisza i pogodna jasność tej purytańskiej idyli, przemawiającej do jego marzycielskiego umysłu całą poezyą wskrzeszonego jakoby „złotego wieku“. Zwalczony tylu urokami postanawia wyrzec się czekającej go świetnej karyery i osiadłszy pośród „swoich“, pędzić wraz z nimi twarde życie pracy, trudu, abnegacyi i pokory.

Tym, którzy w powieści szukają przedewszystkiem zajmującej fabuły, którzy od pierwszej stronicy stawiają pytanie: „Czy Numa wyjdzie za Pompiliusza?“, Australczyk gorzkie zgotuje rozczarowanie. Znaczną część samej fabuły czytelnik musi sobie dopowiedzieć w duszy, autorka bowiem zaledwie dotyka wypadków i położeń doskonale znanych, pozostawiając czytelnikowi dopełnienie całości obrazu. Czyni ona go poniekąd swoim współpracownikiem, i to w sposób tak misterny, że niebawem przekonywa się, jak mu łatwo przychodzi spełniać to nowe zadanie. Jest wiele, bardzo wiele melancholii i smutku w utworze p. Orzeszkowej; ale bo też cały nastrój jest tak uroczysty, miejscami tak głęboko dramatyczny, że humor byłby zgoła nie na miejscu. Natomiast co za zdumiewające bogactwo charakterów i typów zupełnie oryginalnych, a rysowanych z prawdą i plastyką mistrzowską. Są tam bohaterowie, ale nie zapożyczeni z pierwszego lepszego romansu, z góry przez autora przeznaczeni do odegrania roli szlachetnej: Stefan Darnowski, ojciec jego Romuald, wychowanka Irena, a nawet Kazimierz Domunt zdobywają sobie bohaterstwo w naszych własnych oczach, a zdobywają je przez pracę, zaparcie się, rezygnacyę i poświęcenie. Sami na chwilę nie mają się za takich, lecz tylko drga w nich przeświadczenie o spełnieniu świętej powinności, którą im nałożyło sumienie i serce. Autorka usprawiedliwia psychologicznie ich bohaterstwo tak dalece, iż zmuszeni jesteśmy przyznać, że działają konsekwentnie, że tacy ludzie inaczej działać nie mogli. Nie ma też w Australczyku ani jednej linii fałszywej, ni rysu nieszczerego; przeciwnie harmonia nietylko artystyczna, ale etyczna i psychologiczna panuje wszędzie. Pani Orzeszkowa posiada arcysubtelne poczucie natury, dlatego wszystkie pejzaże i opisy wychodzą z pod jej pióra z wielką prawdą i plastyką. Weźmy naprzykład taki dziedziniec przed Domuntową siedzibą, albo przechadzkę Romana Darnowskiego z Bronią przez pola do lasu — aż się prosi o pędzel i paletę.

Po nad wszelkiemi jednak zaletami pisarskiemi i artystycznemi ostatniego utworu pani Orzeszkowej góruje bogactwo podniosłych, głębokich i niby złotych myśli, rozrzuconych szczodrą ręką po całej książce, a wyrażających tak dosadnie okolicznościowy światopogląd znakomitej autorki.

Pozwolimy sobie przytoczyć choć kilka.

Oto np., co odpowiada Stefan Darnowski na utylitarne poglądy Rosnowskiego: „Trzeba coś kochać, poczuwać się względem czegoś do obowiązków, i wiedzieć, że nie świat jest naszym sługą i podnóżkiem, lecz my jesteśmy sługami cierpień ludzkich i idei boskich. Trze-

przeczuć, że będzie to nowa edycya owej „Ligi pierwiosnka", która się stała najpotężniejszą organizacyą całego zachowawczego stronnictwa. Na pierwszem zebraniu kobiecego działu Ligi marynarki, kapitan Grenfell nakreślił im plan działania i wykazał rozmiary usług patryotycznych, jakie krajowi pod tym względem oddać mogą. Zabawnem było, że jako przykład działania stawia Grenfell paniom, należącym do Ligi, wpływ Emmy na Nelsona, najgenialniejszego z marynarzy angielskich. A przecież ta Emma, lady Hamilton, potworna awanturnica, nie była żoną bohatera z pod Trafalgaru, ale jego kochanką. Świeżo ogłoszona, a wielce poczytna biografia Nelsona przez p. J. K. Laughtona, kreśli właśnie skandaliczny obraz prywatnego życia tego wielkiego marynarza. Patryotyczny zapał Angielek tłumi nawet ich wrodzoną skromność tak dalece, iż gotowe są z Emmy Hamilton zmazać jej hańbę a wielbić narodowego ducha.

Innego rodzaju skandaliczna sprawa rozstrzygniętą została dzisiaj przed trybunałem londyńskim. Mówię o procesie posła Balfour'a, który narobił od paru lat wiele hałasu na obu półkulach. Ów wysokiej reputacyi używający członek parlamentu stał się założycielem całego szeregu finansowych przedsięwzięć o rzekomo demokratycznym charakterze. Pod pozorem zakupywania i budowania domów dla klas niezamożnych, wyławiał on od nich pieniądze. Żadne z tych przedsięwzięć nie dawało czystego dochodu, ale przez fałszowane bilanse, rozdawanie sztucznych dywidend Balfour umiał nadać im wyjątkowy rozgłos. Posiadając manię budowniczą, wybudował on wiele wspaniałych gmachów. Osobiście nie zrobił wielkiego majątku, ale nie mogło go to uniewinnić wobec opinii i wobec sądu, bo jego bezprawia i nadużycia były jaskrawe. Gdy prawda wyszła na jaw, oburzenie kroci biednych ludzi, którzy stracili swój krwawo zapracowany dorobek, nie znało granic. Balfour byłby padł niezawodnie jego ofiarą, gdyby nie był umknął do Argentyny. Czytelnicy musieli słyszeć o przewlekłych negocyacyach, które się pomiędzy rządem argentyńskim a W. Brytanią toczyły o wydanie zbiega; uskutecznione ono zostało po wyczerpaniu wszelkich formalności prawnych i przed kilku miesiącami przywieziono Balfour'a do Anglii. Uwięziony, po długiem i mozolnem śledztwie, został skazany na 14 lat ciężkiego więzienia. Wyrok surowy i zasłużony. Wprawdzie Balfour nie jest ani lepszy, ani gorszy od tysiąca innych spekulantów, którzy złupili publiczność. Ale herostratowa jego sława poszła stąd, że ograbił biedaków. Rozdrażnienie ich nie znalazło dostatecznego zaspokojenia nawet w tym wyroku sądu, uznawanym za zbyt łagodny.

Sztuka inżynierska angielska może się pochlubić nowem, wielkiem dziełem: tunelem pod Tamizą. Chociaż potrzeba będzie jeszcze dwóch lat do wewnętrznego jego ukończenia i otworzenia przejazdu, całe przedsięwzięcie jest już dokonane i przez trzy dni otwarte było przez sir Weetmana Pearsona, twórcę tunelu dla oględzin publicznych za drobną opłatą na cel dobroczynny. Krocie się zbiegły, bo jest istotnie na co patrzeć. Nie ma już sposobu budować nowych mostów na królewskiej rzece i most Tower będzie ostatnim przed ujściem jej do morza. Ale przy coraz bardziej wzrastającym ruchu komunikacyjnym, stało się koniecznością znaleźć jeden więcej sposób połączenia obu wybrzeży. Rada londyńskiego hrabstwa, znajdując się wówczas pod prezydencyą lorda Rosebery, postanowiła ruch ułatwić przez wyżłobienie podrzecznego tunelu. Koszta obliczone zostały bez mała na milion funtów szterlingów, nie tyle na samą budowę tunelu jak na zakupienie gruntów w tem miejscu, gdzie on dostaje się na powierzchnię, a grunta te, zajmowane przez doki, lamusy i spichlerze składowe towarów, są drogie.

Prace trwały sześć lat i zatrudniały 1200 robotników pod dyrekcyą wielkiego inżyniera, członka parlamentu, sir W. Pearsona. Długość tunelu wynosi 1800 metrów, z których 414 są murowanym korytarzem, a reszta siatką z żelaza, która będzie pokryta cegłą i odziana taflami porcelanowemi. Tunel posiada trotuar dla pieszych przechodniów, szeroki na 4·80 metrów i dwa tory drogi żelaznej. 402 metry znajdują się pod samem łożyskiem rzeki, i tylko [illegible] tunelu. Oświetlenie elektryczne jest już obecnie doskonałe, a po otwarciu tunelu będzie w nim jasno, jak w dzień słoneczny. To światło ujmie wrażenia grozy, jaka przejmuje widza na myśl niebezpieczeństwa, jakieby mu grozić mogło. Drwią sobie jednak z tych obaw specyaliści, twierdząc, że wszystkie ostrożności zostały zachowane. Tego samego zdania trzeba być, nawet będąc profanem, tak potężnemi, tak niezłomnemi zdają się rusztowania żelazne, które są teraz widoczne.

Ale najbardziej interesującą nowością tunelu Blackwell jest wentylacya. Na obu końcach tunelu znajdują się olbrzymie przyrządy w rodzaju gazometrów i funkcyonujące doskonale. Powietrze jest czyste i pozwala oddychać zupełnie łatwo. W rozwoju mechaniki owe wentylatory — jak słyszę — mają stać się epoką i otwierają szerokie perspektywy postępu. Całe dzieło, chociaż jeszcze niewykończone, robi wrażenie potężne i jest nowym tryumfem ducha nad światem materyi.

W świecie teatralnym ostatnią nowością jest wystawiony na scenie teatru Shaftesbury dramat „Maux man". Czytelnicy muszą znać z europejskiego rozgłosu powieść p. Hall Cain'a pod tym samym tytułem. Z niej to wykrojono sztukę, tak samo jak z jej współzawodniczki w sukcesie „Trilby" p. Du Maurier. Jako powieść, utwór p. Hall Cain'a był artystycznie i etycznie daleko doniosłejszym. Na tle poetycznych krajobrazów wyspy Man, wśród oryginalnych i tam jedynie istniejących instytucyi, autor odmalował dramat psychiczny o podwójnem wiarołomstwie, podwójnem dla tego, bo nietylko bohaterka powieści, żona, łamie wiarę, ale i przyjaciel dopuszcza się zdrady. Czarem i ponętą powieści była postać rybaka Piotra, natury szlachetnej, naiwnej, istotnie pierwotnej. Nic dziwnego, że uśmiechnęła się ona dramatycznym pisarzom. Ale widocznie zadanie było trudnem, bo o ile powieść wraża się potężnie w pamięć czytelnika, o tyle dramat, chociaż jest napisany przez wytrawnego znawcę teatralnego kunsztu, Wilsona Barret, aktora i dyrektora teatrów, jest poprostu melodramatem, jakich spotyka się mnóstwo na deskach teatralnych. Powodzenie, jakie ma sztuka, zawdzięcza żywym wspomnieniom, wiążącym się do powieści; zapewne jednak nie będzie ono ani tak długiem, ani tak poprostu bajecznem, jak powodzenie „Trilby" na scenie Haymarket'u. Pan Tree, jako żyd polsko-niemiecki, Svengali, nie przestaje entuzyazmować tłumów, a tryumf gry jego rzuca cień na niedostatki samej sztuki.

---

ba umieć kochać i służyć, chociażby to służba była ciężka.

Przecież jeszcze wypowiada prawie to samo Broncia Romanowi Darnowskiemu, który nie mogąc zrozumieć, dlaczego Irena nie pojechała z baronową do wielkiego miasta, gdzie jej świetna otwierała się karyera, pyta o powody odmowy:

— Jakże można pytać o takie rzeczy? — rzekła Bronia.

— No, cóż dziwnego znajdujesz w mojem pytaniu?

— Naturalnie, bo Irenka jest tu potrzebna, a gdzie kto jest potrzebny, tam siedzi.

Pięknie maluje pani Orzeszkowa stan duszy Kazimierza Domunta, który powróciwszy z poza [illegible] rozbitkiem pod strzechę rodzinną, zastaje tam pustkę i ciszę: „Ciszę nie taką, jaka w dzień pogodny panuje nad polem, okrytem żniwiarzami; lecz taką, jaka rozległa się nad cmentarzem, gdzie nie ma już żadnej roboty, bo umarli śpią a żywi — odeszli. Dlaczego? dlaczego? Gdzież są ci, których głowy, głosy, serca, ręce powinny życiem napełniać [illegible] sobie samemu.

Cóż dziwnego, że Kazimierz zgnębiony tą refleksyą, pada na kolana i woła za Stefanem: „Boże, którymś mnie stworzył, ziemio, z której powstałem, przebaczcie!" W gmach, który wznosi i którego widzimy zaledwie kęsek drobny, włożyłem ciężką cegłę krzywdy. Nie ja, ale ktoś był w tem zamiarze, ale żem nie chciał razem z innymi dźwigać tej ciężkiej cegły, przebacz!"

Takich podniosłych myśli pełno w Australczyku, który na każdym kroku potężnie przemawia do duszy i serca czytelnika, budząc jego do poważnej refleksyi i szczerą wdzięczność dla znakomitej autorki.

Ankieta nad ubezpieczeniem od wypadków.

Ustawa z dnia 28 grudnia 1887 o ubezpieczeniu robotników od wypadków polepszyła wprawdzie znacznie los robotników, narażonych w swym zawodzie na kalectwo nieuleczalne lub zmniejszenie sił i zdolności do pracy wskutek przypadkowego nieszczęścia; wcale jednak nie zadowolniła robotników, a nadto stała się przyczyną wielu skarg ze strony przemysłowców. W ostatnich miesiącach można było czytać ciągłe utyskiwania w pismach przemysłowych. Tygodnik *Arbeit* (organ fabrykantów) namiętnie napadał na dziennik *Neue Freie Presse* z powodu jego wrzekomo fałszywego stanowiska w kwestyi ubezpieczenia, żądając, aby przeprowadzono inny podział klas niebezpieczeństwa i płynących ztąd ciężarów dla przedsiębiorcy. Pisma robotnicze niemniej gorzko wyrażały swoje niezadowolnienie z ustawy, zabezpieczającej tylko 60 procent płacy, jako rentę robotnikowi okaleczałemu i niezdolnemu do pracy. Namnożyło się projektów, planów i poprawek bez liku. Rząd tedy zajął się reformą tej ustawy i zanim wypracuje projekt tej reformy, chciał zasięgnąć zdania ekspertów ze stanu zarówno przemysłowców jak i robotników. Na pierwszem posiedzeniu tej ankiety reprezentanci robotników zarzucili, że jest za mało ekspertów ze stanu robotniczego, a rząd z największą gotowością powołał jeszcze czterech.

Różnica zdań w ankiecie uwydatniła się jaskrawo zaraz na pierwszem jej posiedzeniu. Pracodawcy chcą ulżenia ciężarów, jakie ponoszą, robotnicy zaś podwyższenia renty. Robotnicy przynajmniej między sobą są w zgodzie co do swych żądań, przemysłowcy jednak różnią się między sobą w zapatrywaniach.

Jasper (z dolno-austryackiego towarzystwa przemysłowców) najjaśniej przedstawił swoje żądania. Dzisiejsze ubezpieczenie polega na instytucyach terytoryalnie odgraniczonych. Obejmuje ono robotników fabrycznych i robotników rolnych pracujących przy maszynach. Otóż zdaniem tego eksperta wykluczyć należy robotników rolnych od spółki z przemysłowymi, lecz dla jednych i drugich osobno organizować ubezpieczenie wedle zawodów. Robotnik we fabryce dynamitu, zapałek i t. d. większym ulega niebezpieczeństwom, jak inny pracujący np. przy klejeniu kartonów, składaniu skrzynek. Mimo ulepszeń podziału na różne klasy niebezpieczeństwa, sprawiedliwy podział ciężarów nastąpi dopiero po organizacyi ubezpieczenia ściśle wedle zawodów. Rolnicy osobne muszą mieć instytucye, a między robotnikami przemysłowymi osobne robotnicy w fabrykach maszyn, robotnicy w przędzalniach, przy kopalniach itd. Instytucye te nie mają być terytoryalne, ale obejmować muszą robotników w całem państwie. Podciągnąć też należy pod obowiązek ubezpieczenia robotników zatrudnionych u rękodzielników majstrów, gdyż w rękodziełach tak samo zdarzają się nieszczęśliwe wypadki, jak w fabrykach.

Jasper stanowczo oświadcza się przeciw dzisiejszemu systemowi pokrycia z góry rent kapitałem. Przemysł austryacki wydał już na ten cel 20 milionów zł., ale ofiary te nie wystarczają jeszcze, a instytucye ubezpieczeń w niektórych krajach fundusze swoje w niebezpieczny sposób nadwerężyły. Przyjęto normę, że kapitał złożony jako pokrycie renty oprocentowywać się będzie po 4%. Tymczasem przy spadającej wciąż wartości odsetkowej kapitału, renty dla ubezpieczonych musiałyby maleć też wciąż. Na to nie ma innej rady, jak zerwać z tym systemem, a zastąpić go zmiennemi, co rok wypłacalnemi premiami. Ustawa z roku 1887 ma też osławiony zdaniem przemysłowców jeden paragraf (§ 45), który nakłada na przedsiębiorcę obowiązek wypłacenia sumy całej skapitalizowanej renty instytucyi ubezpieczenia, albo robotnikowi, jeśli właściciel fabryki, lub jego zastępca wywołali nieszczęśliwy wypadek przez ciężkie zaniedbanie ostrożności, lub z umysłu. Sędzia — jak uskarża się p. Jasper — może w każdym wypadku dostrzedz ciężkie zaniedbanie i zasądzić przedsiębiorcę na zapłacenie całej renty. Takie wypadki należą przed sąd karny. W końcu życzy sobie ten rzeczoznawca stworzenia centralnego urzędu ubezpieczeń, któryby najwyższą był instancyą w tych kwestyach.

Otóż wszystkie te wywody mocno szwankują. Że przemysłowiec chce wyłączyć robotnika rolnego z instytucyi ubezpieczeń, łatwo zrozumieć. Instytucya ta ma wielkie koszta administracyjne ($11^1/_2$% całego obrotu) a robotnicy rolni pod przymus ubezpieczenia podpadający dużo kosztują, bo choć ich jest mało trzeba nad nimi roztaczać kontrolę, badać ich przez lekarzy i t. d. Ale takie zapatrywanie się na sprawę jest zbyt ekskluzywne, ono też sprawiło, że fabrykant i rolnik uważają się często za przeciwników ekonomicznych, nie rozumiejąc wspólności swych interesów.

I na pociągnięcie czeladników rzemieślniczych pod rygor ubezpieczeń możnaby się poniekąd zgodzić. Ale nie ryzałtem. Ślusarz, kowal, kotlarz pracuje z pewnem niebezpieczeństwem. Jeśli chcielibyśmy jednak szewca, krawca, rymarza lub malarza pokojowego ubezpieczyć od wypadku, tem samem prawem musianoby ubezpieczyć dyurnistę i muzykanta.

Co do zarzucenia dzisiejszego systemu terytoryalnego i zastąpienia go przez organizacye ogólno-państwowe dla każdej gałęzi pracy, to każdy z góry przewidzieć może, iż taka reforma wobec wielkich różnic płacy, warunków roboty, środków ostrożności w różnych krajach monarchii wypaść musi źle i dla robotników i dla samych przemysłowców. O organizacyi zaś ubezpieczenia robotników rolnych w związkach całe państwo obejmujących, wcale mowy być nie może. Słusznie zauważył hr. Zedtwitz, że organizacya tych ubezpieczeń pozostawioną być musi sejmom, i pod tym tylko warunkiem zgodzićby się można nawet na wykluczenie robotników rolnych z ogólnych instytucyi ubezpieczeń. Kultura rolna i wszystko, co jej dotyczy, może być tylko przedmiotem obrad sejmowych w każdym kraju. Ekspert ten zbijał też zarzuty, że robotnik wiejski o wiele gorzej jest płacony, niż fabryczny, wskazując na niewliczane do płacy naturalia. W tej kwestyi płac wywodził dalej ekspert Frommel z Galicyi, że nie można chyba porównywać robotnika miejskiego i to miast większych fabrycznych z wiejskim, którego życie nie wiele kosztuje, gdyż często żyje w okolicach, gdzie kilogram mięsa kosztuje 16 ct a jajo $^3/_4$ ct.

A i najistotniejszy zarzut Jaspera, podniesiony przeciw dzisiejszym instytutom, że wpłaca się do nich kapitał z góry a nie rentę roczną, przychodzi trochę za późno. Cóż dziś począć? Czy wrócić przemysłowcom ich wkładki? A cóż robotnik-inwalid pocznie za lat 10, jeśli w jakiejś gałęzi fabrycznej wybuchnie przesilenie (dajmy na to cukrowe) i jeśli instytucye wedle zawodów ograniczane, nie otrzymają wcale premii, gdyż przedsiębiorcy usuną się, zbankrutują, zamkną fabryki i t. d?

To też reprezentanci robotników stanowczo opierają się zmianie systemu zabezpieczenia renty. A i wśród przemysłowców odzywają się tylko głosy bardzo niezgodne z sobą. Jedni są za dzisiejszym systemem, inni chcą corocznego rozdziału ciężarów, jeszcze inni znów chcą systemu mieszanego: t. j. część renty ma być z góry skapitalizowaną, druga wypłacaną co roku przez udziały przedsiębiorców.

Robotnicy mają też swoe żądania osobne. Dzięki wyrobionej u nich kasowości, domagają się i oni wykluczenia robotników wiejskich z ogólnej instytucyi; o zmianie terytoryalnego systemu nic wiedzieć nie chcą, a natomiast pragną, aby dzieciom nieślubnym tyle wypłacano, co dzieciom z prawego małżeństwa, a nie o 5 procent mniej; dalej, aby rentę podniesiono do 100 a nawet 120 prc. płacy robotnika poszkodowanego, bo, jak twierdzą, robotnik który ledwie mógł wyżyć z dochodu swej pracy zniszczony fizycznie, niezdolny do pracy, ma prawo do tego samego przynajmniej dochodu, a niejeden byłby zdobył sobie, będąc przy zdrowiu i siłach, lepsze warunki egzystencyi.

Onegdaj rozpoczęła się rozprawa nad poszczególnymi paragrafami ustawy. O ostatecznych wnioskach napiszemy po zamknięciu ankiety.

List do Redakcyi.

(W sprawie utworzenia krajowego zakładu chowu pożytecznych psów.)

Gdy przygotowano zeszłoroczną wystawę krajową, zamierzono urządzić na niej także specyalną wystawę psów. Poczyniono już nawet odpowiednie przygotowania, zajęto się zbieraniem najpiękniejszych okazów krajowych, wnet jednak przekonano się, że urządzenie takiej wystawy jest niemożliwe i odstąpiono od tego zamiaru. Psów bowiem rasowych, w kraju naszym urodzonych i wychowanych, prawie wcale nie ma, wszystkie zaś piękniejsze okazy, które tu i ówdzie widzimy, są sprowadzone z zagranicy. Dużo pieniędzy wychodzi z kraju naszego corocznie za granicę za sprowadzane stamtąd psy: pies myśliwski bowiem, lub tz. luxusowy, średniej jakości, kosztuje co najmniej 200 zł, a są takie okazy, za które płacą po 2000 zł. i wyżej. Z tych jednakowoż za drogie pieniądze sprowadzanych psów kraj najmniejszego nie ma pożytku. Te bowiem importowane do nas psy nie znoszą tutejszego klimatu i źle się chowają, a potomstwo ich urodzone w kraju podlega rozmaitym chorobom, zwłaszcza gorączkowym i marnie ginie. Nasze zaś krajowe psy pozostawiają pod każdym względem wiele do życzenia. Przypatrzmy się naszym psom myśliwskim. Jakież to rozmaite pokurcza znajdziemy między nimi, wyprodukowane przez nieumiejętne krzyżowanie! A jednak właśnie w naszym kraju, gdzie łowiectwo z psami tak wielką odgrywa rolę, psy myśliwskie powinny być najlepszej jakości. Wobec tego poruszono myśl założenia w kraju naszym zakładu chowu pożytecznych psów rasowych. Zakłady takie od dawna istnieją w Anglii i we Francyi i oddają wielkie usługi, a i niemałe zyski przynoszą.

Minął rok cały, a naszym zwyczajem projekt pozostał projektem i dotychczas w życie nie wszedł, a i inicyatorowie jego ostygli już w swym zapale. A jednak myśl ta nie powinna być pogrzebana. Magistrat miasta Lwowa, gdzie znajduje się tyle psów najrozmaitszej rasy i gdzie opłata od psów przynosi miastu przeszło sześć tysięcy reńskich rocznego dochodu, już w interesie mieszkańców powinien postarać się o to, by Zakład taki w naszem mieście powstał, a także miłośnicy psów, których jest u nas bardzo wielu, powinni użyczyć swego poparcia. Pominąwszy już bowiem to, że rasa psów poprawiłaby się, jest jeszcze z innych względów taki Zakład dla psów pożyteczny. Wtedy bowiem nie wałęsałyby się psy samopas po ulicy, co nieraz jest powodem zgorszenia, i zapewne nie tak często słyszelibyśmy o zarazach psów, wywołujących zaniepokojenie u mieszkańców miasta. Pierwszym warunkiem oczywiście, ażeby zakład taki przyniósł rzetelny pożytek, jest to, ażeby zostawał pod umiejętnem kierownictwem człowieka fachowego. Otóż takiego człowieka mamy właśnie, a jest nim p. Karol Hostoński, znakomity hodowca i znawca ras i chorób psich, który w niezliczonych wypadkach dał dowody swych zdolności. Zakład pod takim kierunkiem zostający mógłby świetnie prosperować, i wtedy nie potrzebowalibyśmy, jak dziś, sprowadzać psy z zagranicy.

Myśliwy.

(Ze zdaniami, wypowiedzianemi tutaj przez „Myśliwego", zupełnie się zgadzamy i spodziewamy się, że który z radnych miejskich poruszy myśl tu rzuconą i postara się o jej wykonanie, a zaskarbi sobie tem prawdziwą wdzięczność amatorów psów, których tylu jest w naszem mieście. *Przyp. Red.*)

Z izby sądowej.

Kołomyja 2 grudnia.

(Zabójstwo).

Przed kilku dniami przed tutejszą ławą przysięgłych odbyła się rozprawa przeciw Ołeksie Toniukowi, oskarżonemu o zbrodnię zabójstwa i przeciw ojcu jego Pawłowi, oskarżonemu o współwinę w tem zabójstwie. Sprawa cała według aktu oskarżenia miała się jak następuje: Ołeksa, młody 19-letni parobek z Dzembroni (jeden z przysiołków Żabia), powrócił wieczorem jesiennym z połoniny wraz z bydłem, które przez całe lato opiece swojej miał powierzone. Nazajutrz miało się odbyć oddanie bydła właścicielom, którzy, zawiadomieni o tem wcześnie, w liczbie około stu osób zbiegli się do Dzembroni. O godzinie 10 wieczorem donieśli Ołeksie jego ludzie, że zniknął jeden z koni, opiece jego powierzonych. Najbliższym sąsiadem ojca Ołeksy, Pawła, był stryj Iwan. Do niego więc udał się Ołeksa, szukając konia. Przeczucie go nie omyliło: koń był na obejściu stryja. Zabrał go stamtąd Ołeksa i poszedł z nim ku miejscu, na którem nocowała reszta bydła.

W połowie drogi zaskoczył go stryj z dwiema córkami i zażądał odeń zwrotu konia albo wynagrodzenia za szkodę przezeń wyrządzoną. Przyszło z tego powodu do sprzeczki, która skończyła się tem, że Ołeksa uderzył swojego stryja pałką po głowie tak silnie, że padł nieprzytomny na ziemię z roztrzaskaną czaszką, a zawleczony do domu w dwie godziny później skończył. Charakterystycznem w tem zajściu miało być odezwanie się w krytycznej chwili ojca zabójcy Pawła: „Bij, a dobrze, żebyś się nie skompromitował." Po przeprowadzeniu rozprawy i odczytaniu werdyktu sędziów przysięgłych, potwierdzającego winę oskarżonego w kierunku zbrodni zabójstwa, zasądził trybunał Ołeksę na trzy lata ciężkiego więzienia. Ojca, Pawła, uwolniono od współwiny.

* * *

(Wymuszenie i morderstwo).

Wiedeń 1 grudnia.

Od czasu do czasu w izbie sądowej wychodzą na jaw wielce charakterystyczne szczegóły, odnoszące się do administracyi niektórych towarzystw akcyjnych, asekuracyi, banków. Że w towarzystwach asekuracyjnych dzieją się nieraz rzeczy nie zupełnie zgodne z duchem i z brzmieniem ustawy, mieliśmy już sposobność przekonać się podczas procesu przeciw Geiderowi, który na dyrektorze towarzystwa „Feniksu" wymuszał dość znaczne sumy za to, że nie wydawał — jak się odgrażał — pisma i nie napadał na administracyę towarzystwa.

Podobny wypadek był przedmiotem onegdajszej rozprawy karnej w tutejszym sądzie Oskarżeni byli dwaj bracia Albin i Karol Shaniel o zbrodnię wymuszenia, popełnioną wobec dyrektora towarzystwa asekuracyjnego „Victoria" pana Wiliama Hahla. Historya procesu jest taka: Albin Shaniel był urzędnikiem w towarzystwie „Victoria" i pewnego razu wniósł był zażalenie na jednego ze swoich kolegów, dyrektor Hahlo uznał jednak, że Shaniel nie miał słuszności w tym sporze. Obrażony tem Shaniel wypowiedział służbę z terminem trzymiesięcznym, a tymczasem przywłaszczać sobie zaczął niektóre tajne dokumenta administracyi towarzystwa, robiąc sobie z nich odpisy. Kiedy się o tem dowiedziano, natychmiast go oddalono ze służby. Shaniel porozumiał się tedy z redakcyą „Arbeiter Zeitung" i groził dyrekcyi towarzystwa asekuracyjnego różnemi publikacyami Dyrektor Hahlo uznał, że najlepiej będzie pogodzić się z tym jegomościem. Wyznaczył mu więc schadzkę w zamkniętym pokoju pewnej piwiarni i rozpoczął z nim targi. Shaniel żądał 280 złr pod groźbą wyjawienia, że w towarzystwie „Victoria" wykracza się przeciw ustawie stemplowej, że dyrektor miał jakieś konszachty z jakimś woźnym, następnie ukaranym za zdradzenie tajemnic urzędowych, a wreszcie, że dyrektor ten miał jakiś stosunek z klientką instytutu. Otóż chociaż cała historya o tym stosunku była kłamstwem, jednak dyrektor bał się, aby nie doszła do wiadomości jego żony i nie zakłóciła mu spokoju domowego Tak samo obawiał się groźby wyjawienia faktu, że odbywały się między nim a owym sądownie karanym woźnym jakieś konferencye Co do manipulacyi stemplowych był spokojniejszym, bo jak twierdził, „w najgorszym razie, jeśli się coś wykryje, to towarzystwo, a nie jego dyrektor, zapłaci 2000 złr. kary!"

Po długich targach z Shanielem przyrzekł mu dać 30 złr. odczepnego. Shaniel wziął te pieniądze i podpisał rewers, że wszystkie jego zarzuty są zmyślone; po kilku dniach jednak na nowo rozpoczął grozić dyrekcyi, a tak dobrze był poinformowanym o wszystkiem, co się działo w towarzystwie, że dyrektor musiał przypuszczać, iż któryś z urzędników donosi mu o każdym szczególe. Przyrzekł tedy 20 złr. nagrody temu urzędnikowi, który wyjawi donosiciela. Nazajutrz Shaniel ofiarował się sam za tę kwotę podać nazwisko urzędnika, rozpowiadającego, co się dzieje w towarzystwie. I rzeczywiście podał nazwisko jakieś, sumę 20 zł. wziął z kasy, a następnie napisał dyrektorowi, że nazwisko to nie było prawdziwe, że sobie zakpił z niego.

Równocześnie i on i brat jego Karol, który też przez pewien czas był w służbie towarzystwa i za rozmaite przewinienia odprawiony został, grozili dyrektorowi różnemi innemi odkryciami. Wreszcie dyrektor Hahlo nie mogąc sobie dać rady wniósł skargę przeciw obu braciom. Albin Shaniel zasądzony został na 4 miesiące więzienia, Karol Shaniel uwolniony został z powodu nie dość wyraźnego określenia jego gróźb.

Drugi proces, który się tu również wczoraj rozegrał, niemniej był zajmujący. Młody 20-letni dozorca budowlany Franciszek Jedliczka zakochał się w służącej trochę od niego starszej i prześladował ją swoją miłością, choć go dziewczyna postępowaniem swem nigdy nie uprawniała do żywienia nadziei na jej wzajemność. Mimo to on nalegał na nią, aby czekała przez 5 lat i za nikogo za mąż nie wychodziła i zaklinał ją, żeby nie lekceważyła go, bo on bez niej żyć nie może. A gdy się dowiedział razu pewnego, że ona z jakimś mężczyzną szła przez ulicę, groził jej w listach, że siebie i ją zabije. Dziewczyna wypowiedziała służbę i postanowiła pojechać do domu. Jedliczka prosił ją, aby przyszła raz jeszcze przed swoim odjazdem na wskazane miejsce, bo chce się z nią pożegnać. Czekał na nią przed domem, odprowadził ją kawał drogi, a na nieco odludniejszem miejscu, wydobył rewolwer z kieszeni i jednym strzałem zabił dziewczynę, a drugim siebie ranił niebezpiecznie.

Wyleczony stawał wczoraj przed sądem przysięgłych oskarżony o morderstwo. Przysięgli uwolnili go jednak od zarzutu morderstwa, a uznali winnym tylko przestępstwa przeciw bezpieczeństwu życia, poczem trybunał skazał go na 10 miesięcy obostrzonego aresztu.

KRONIKA.

Lwów 4 grudnia.

Mianowania. Prezydent sądu krajowego wyższego zamianował oficyała rachunkowego w sądzie krajowym wyższym we Lwowie Gustawa Bindera rewidentem rachunkowym w sądzie krajowym wyższym w Krakowie.

P. Stanisław Piątkiewicz, dyrektor gimnazyum w Przemyślu, otrzymał tytuł radzcy rządowego. — Sekretarz Rady w sądzie krajowym w Krakowie Józef Homolacz mianowany radzcą sądu krajowego.— Sędzia powiatowy w Jaworznie p. Władysław Teleśnicki mianowany sekretarzem Rady.

Sekretarz Rady wyższego sądu krajowego w Krakowie Wł. Gubaczewski i zastępca prokuratora w Krakowie Cieszyński mianowani radzcami sądu krajowego w Krakowie. — Sekretarz prokuratoryi skarbu we Lwowie Mendelsburg mianowany sekretarzem Rady sądu krajowego w Krakowie.

Zmiana nazwiska. Namiestnictwo zezwoliło p. Mieczysławowi Piotrowi Łukaskiewiczowi zmienić rodowe nazwisko na „Mysłoski".

Zaręczyny. W Krakowie odbyły się zaręczyny Artura hr. Russockiego z hrabianką Czapską z Księstwa Poznańskiego.

Cholera w Galicyi. Stan cholery w naszym kraju dnia 2 bm był następujący: Pozostało w leczeniu z dni poprzednich 7 osób, zachorowały 4 osoby, wyzdrowiały 4, umarła 1, pozostaje w leczeniu 6 osób.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Trembowli rozpisała z terminem do 31 grudnia konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich

Demonstracye antysemickie. Słuchacze wiedeńskiej szkoły politechnicznej urządzili wczoraj demonstracyę swemu rektorowi, który na komersie, danym przez antysemickie Towarzystwa studenckie, wypowiedział mowę zwróconą przeciw antysemitom i ich agitacyi. Gdy rektor wszedł wczoraj do sali wykładowej, licznie zebrani w niej studenci przyjęli go okrzykami, „pereat" i zaczęli pukać, uderzać laskami o ławki i tak silnie hałasowali, że rektor nie mógł przyjść do słowa i nie mógł wykładać. Opuścił więc salę żegnany także okrzykami „Pereat". Na tem demonstracye te zakończyły się, gdyż po południu rektor mógł już wykładać i wykładu nikt mu nie przerwał.

Rabin Bloch, który wszelkich dokłada starań, aby otrzymać ponownie mandat poselski z m. Kołomyi, zwrócił się do swego kontrkandydata dra Trachtenberga z propozycyą, aby poddał się wyrokowi sądu polubownego, złożonego z poważnych członków izraelickiej gminy wyznaniowej we Lwowie, któryby orzekł kto ma kandydować w Kołomyi: Bloch czy Trachtenberg. Na to miał odpowiedzieć dr. Trachtenberg, że jedynym sądem polubownym, który uważa za kompetentny w tej sprawie, są wyborcy.

Głowa św. Stanisława Kostki, którą w roku 1773, po pierwszym podziale Polski, wywieziono do miejscowości Gorheim w Niemczech, ma ztamtąd powrócić z polecenia Ojca św. do Krakowa. Starał się o to usilnie jeszcze ś. p. kardynał Dunajewski. Wiadomość tę przynoszą niemieckie pisma katolickie.

Z Czytelni katolickiej We czwartek dnia 5 b. m. o godzinie 7 wieczorem wygłosi p Jan Styka w Czytelni katolickiej Rynek 20 odczyt p. t. „Wrażenia z podróży do ziemi świętej".

Z Towarzystwa prawniczego lwowskiego. We czwartek, dnia 5 grudnia b. r. i w następny czwartek dnia 12 grudnia o godzinie pół do 7-mej wieczorem w sali rozpraw c. k. sądu krajowego cywilnego referować będzie radzca wyższego sądu krajowego Dr Romuald Schuberth: „o rekursie według nowej ustawy sądowej, normy i projektu postępowania egzekucyjnego."

Sala koncertowa. Melomani lwowscy narzekają od dawna, że gród nadpełtwiański — chociaż uchodzi za bardzo muzykalny — nie może jednak doczekać się takiej sali koncertowej, którąby odpowiadała dzisiejszym wymaganiom, miała stosowną temperaturę, była dość wielką na pomieszczenie paru tysięcy osób, posiadała wygodne i przestronne wejścia i wyjścia, a nadewszystko miała obszerną i dobrze urządzoną garderobę. Tymczasem inne miasta — lubo znacznie od Lwowa mniejsze, pomimo że mają sale koncertowe — budują sobie *Tonhalle*. Oto, co np. dzieje się w Zurychu, mieście liczącem tylko 40.000 mieszkańców, ale za to pracowitych i oszczędnych. Pan Wacław Karczewski pisze ztamtąd co następuje:

„Przyozdobił się ostatniemi czasy Zurych zainaugurowaną świeżo na t. zw. Alpenquai wspaniałą Tonhallą (gmach koncertowy) przez budowniczych wiedeńskich Hellmera i Fellnera, kosztem 1,800.000 fr. wzniesioną. Plac wartości miliona ofiarowało miasto darmo. I oto jak roku zeszłego, gdy byłem na otwarciu pysznej „Wiktoryi-halli" genewskiej, znowu na myśli stanął mi Lwów, to wielkie 150-tysięczne miasto, „ofiarne" i „muzykalne" przysłowiowo wrzekomo, które koncerty swoje „monstre" urządza po gimnastycznych salach lub klubach, bo ani rusz na nic lepszego zdobyć się nie może — i jak roku zeszłego zaimponowała mi żywotność i mniej „przysłowiowa" ofiarność drobnych miasteczek szwajcarskich, bez najmniejszego wysiłku milionowe wznoszących gmachy — no, zazdrość mi, choć to nieładnie."

Samobójstwo. W Stryju zastrzelił się kasyer firmy Perkins & Mac Intosch, nazwiskiem Wray. Zmarły liczył 26 lat. Przyczyną samobójstwa był pojedynek amerykański.

Stracenie elektrycznością. Amerykańskie „Echo", pismo polskie wychodzące w Buffalo donosi: „W Sing-Sing ma być stracony za pomocą elektryki niejaki Tuliszkiewicz, pochodzący z Królestwa Polskiego. Przyjaciele starają się o uwolnienie, gdyż morderstwo, jakiego się dopuścił, miało być popełnione w przystępie waryacyi."

Tablica pamiątkowa. Arcyksiążę Józef kazał umieścić tablicę pamiątkową tam, gdzie zginął tak niefortunnie jego syn Władysław. Na tablicy wyryty jest następujący napis w języku łacińskim: „Scio, quia resurget in resurrectione in novissima die" (Wiem, że zmartwychwstanie w dzień sądu ostatecznego).

Dowcipy hr. Taaffego. Wyborne dowcipy hr. Taaffe'go długo żyć będą w pamięci. Raz, podczas bytności belgijskiego króla w Wiedniu, wpisywali w księgę pamiątkową swe nazwiska wszyscy wysocy dygnitarze.

Kiedy przyszła kolej na węgierskiego ministra obrony krajowej, Szendego, był on w kłopocie jak wpisać do księgi swój charakter urzędowy po francusku. Stojący w bliskości hr. Taaffe, dał mu radę:

— Napisz pan: *Ministre de la guerre civile.*

Szende biorąc to za dobrą monetę, tak się też zapisał w księdze.

A oto dowcip podczas przyjęcia hr. Taaffego na dworcu w Lublanie. Posłowie słoweńscy, należący wówczas do większości rządowej wystąpili gremialnie na jego przyjęcie. Późniejszy marszałek Krainy, poseł Poklukar, miał powitalną przemowę, poczem w rozmowie z hr. Taaffem zabrakło mu jakoś wątku, więc zapytał dla utrzymania konwersacyi hr. Taaffego.

— Co słychać, ekscelencyo, o cholerze?

— Cholery — odparł hr. Taaffe — Bogu dzięki nie ma u nas, ale mamy natomiast inne nieszczęście: sejm czeski.

Wówczas był w sejmie czeskim wysoko fale sporu narodowościowego.

Do właściwości hr. Taaffego należało także, iż wszystkie ważniejsze akty urzędowe ogłaszać kazał w *Wiener Zeitung* w niedzielę.

Kiedy go zapytano, dlaczego to czyni, odpowiedział:

— Chcę, żeby publiczność przynajmniej przez 24 godzin (do wyjścia dzienników w poniedziałek w południe) myślała samoistnie, lub była w niepewności, co ma myśleć.

Zmarli. Julia z Hallów Kufelkowska, żona emer. radzcy sądu krajowego, przeżywszy lat 65, umarła w Krakowie. — Aleksander Gawlikowski ze Lwowa umarł nagle w Krakowie przy obiedzie, prawdopodobnie na udar sercowy. — Józef Gliniecki, urzędnik fabryki maszyn Claytona i Schuttlewortha, umarł we Lwowie, przeżywszy 74 lat. — Jan Janicki, b. porucznik zabłotowski, uczestnik powstania 1863 r. wychodźca z pod zaboru rosyjskiego, umarł w Zabłotowie w 62 roku życia. — Emilia z Töpferów Kohlheppowa, wdowa po urzędniku bankowym, umarła we Lwowie, przeżywszy lat 46.

Stan powietrza. T. o 9 rano —1° R., w poł. + 2° R. Bar. 764. Spada. Pochmurno.

Wszystko jest względnem.

Młody adwokat bez klientów w tydzień po ślubie do żony:

— No, wreszcie dostałem pierwszego klienta!

— Któż to taki?

— Łotr z pod ciemnej gwiazdy, którego oddano pod sąd za siedem kradzieży.

— I oddał ci swoją sprawę?

— Oddał.

— Ach, mój Boże, co to za poczciwy człowiek! Mój mężulku, możeby go w niedzielę zaprosić do nas na obiad?

Znak niemylny.

— Ach mamo! — rzekła zarumieniona Mania, gdy powróciła ze ślizgawki — pomiędzy mną a panem Karolem stosunek już zawiązany.

— Oświadczył ci się?

— Nie, ale mi łyżwy dziś zawiązał.

Teatr. Dziś we środę „Niobe", komedya w 3 aktach Paultona. W tytułowej roli wystąpi po raz pierwszy pani Jadwiga Tańska. Jutro we czwartek „Ciepła wdówka", komedya w 3 aktach M. Bałuckiego.

Odpowiedź Administracyi. *WPP. W. S. w Krakowie.* Numer okazowy *Mód paryskich* będzie dołączony dla wszystkich prenumeratorów *Przeglądu* do numeru 285 z dnia 10 bm.

Literatura i Sztuka.

* **Fotografie wioskowe,** Klemensa Junoszy, Warszawa, nakładem księgarni T. Paprockiego i Ski 1895. Dwa utwory składają się na ten ostatni tom popularnego pisarza, mianowicie: „Abram Pinkt i Mateusz Sikora, dwaj filozofowie współcześni" i „Adjutant pana Macieja, obrazek z niedawnej przeszłości". Już sam tytuł pierwszej z dwóch nowel wskazuje, że autor dał w niej próbkę ulubionego swego przeciwstawienia filozofii żydowskiej i chłopskiej. A tym razem dokonywa tego na dwóch specjalnych okazach filozofów wioskowych. Żyd jak żyd — do spekulacyi wszelakich ma dar, kombinuje szybko; w chłopskiej głowie idea obraca się powoli, niby koło ciężkiego wozu w piasku... pojęcie urabia się z trudnością, rośnie jak drzewo, wolno, po troszeczku — ale też za to, gdy raz wyrośnie, jak korzenie zapuści, to już ani naruszyć, ani wyrwać, trwałe jest jak mur, niewzruszone jak skała...

Przepyszny jest cały szereg sytuacyi, w których te dwa typowe, dwie filozofie się ścierają, od sceny w wilczym dole, gdzie żyd wpadł przypadkiem, a Mateusz wpadł, chcąc go ratować i gdzie siedzą w oczekiwaniu rana, filozofując i drzemiąc dla skrócenia czasu.

Jednym z ulubionych tematów dyskusyi między Abramem a Mateuszem jest śmierć. Według żyda jest ona czemś strasznem, przerażającem. „Król Dawid wiedział, że umrze w sobotę, i anioł śmierci naprózno usiłował go zabić, aż dopiero za pomocą dowcipnego podstępu życie mu odebrał. Możesz grodzić się i gniewać, przeciwko śmierci, nareszcie i z nim ... siebie tę ... zecież nie ... „dobra śmierć, to jest łaska Boża".

A oto walna w tym względzie dysputa, a raczej wykład na temat o wieczności:

— Słuchajcie — mówi Pinkt. — Jeżeli człowiek myśli o naboźnych rzeczach, jeżeli się modli, jeżeli czyni dobrze, daje jałmużnę, jeżeli do rabina, mówi sprawiedliwe słowo... to z każdego takiego pomyślenia, mówienia, czynienia rodzi się anioł. Jeżeli znów człowiek złe myśli, opuszcza modlitwę, mówi paskudne słowo, źle robi... to z każdego takiego postępku, mówienia i czynienia rodzi się dyabeł. Gdy dusza wychodzi z ciała i idzie do góry, przylatują ci wszyscy aniołowie i wszyscy dyabli, chwytają duszę, szarpią, ciągną do siebie z gwałtem, krzykiem i bitką. Robi się okropna wrzawa, jedna strona chce mieć górę, druga także. Czyż to są żarty?

Chłop kręcił głową przecząco, a Abram mówił dalej z zapałem:

— Jak kury o ziarnko zboża, tak oni dobrzy i ci źli wyrywają sobie duszę to przykro jest.

— Wiadomo, że ciało boli, to musi cierpieć.

— Ej, choć nie boli, to też w pierwszej chwili ma duży ambaras. Ona cierpi i ciało cierpi.

— Nie płacze oto! Jakże niejasne ciało może cierpieć?

— Co wy wiecie! — rzekł niechętnie Abram. — Powiadacie, że ciało nie cierpi... nic będzie; i ja powiem, że cierpi.

— Dobrej duszy na tamtym świecie nagroda, a złej kara. Oto i wszystko.

— Wy, Mateuszu, jesteście pierwszy majster na zwierzynę; ale do delikatnego myślenia majster z was zły. Wy tylko wiecie, że bywa źle albo dobrze; co w tem dobrem albo złem jest za interes, to wy nie wiecie. Wam się zdaje, że koza to koza, kura to kura, a gęś to gęś.

— Juści, że gęś nie pies, tylko gęś.

— Cha cha, cha! A czy wiadomo, co w niej we środku jest?

Chłop na całe gardło śmiać się zaczął.

— A toć dopiero historyje!... co jest w gęsi! Grzdyka, wól, letkie, wątroba...

— Aj, aj! taka baba to wie.

— No, a wy się pytacie!

— Ja się pytam, bo chcę was nauczyć, co się może zdieć z duszą ludzką po śmierci.

— Toć dusza nie gęś!

— No, a co wy myślicie? Może gęś była kiedyś znaczną kupcową, nosiła perły na szyi, pyszniła się ze swego bogactwa, sklepu, dzieci; może ona gęgała ludzkim głosem, szczypała nie dziobem, ale rękami, lubiła się sprzeczać ze swoim sąsiadem, nie dotrzymywała płótna w sklepie.

— Ha, toć nie gęsi tak robią, jeno żydówki.

— Aj, Mateuszu! Nie wiadomo, w jakie stworzenie dusza ludzka może się dostać. W niejednym narowistym koniu siedzi szlachcic i szarpie się, do pólki żydzi nie ujeżdża; w niejednej kozie ma swoje posiedzenie niejeden ubogi żydek handlujący, w wielu wołach siedzą najprawdziwsi chłopi... Ja słyszałem o jednym złym człowieku, co wielu biednych ukrzywdził i gałgan był. Wiecie, co się z nim stało?

— No?

— Dusza jego weszła za pozwoleniem w kurę. Ten człowiek kurą został i należał po kolei do wszystkich, których ukrzywdził.

— Ej!

— To ci komedya!

— Ładna komedya... On musiał ciągle z rąk do rąk przenosić się, dopóki nie zniósł tyle, ile wartość krzywd wynosiła.

— Abramie — przerwał Mateusz — mnie się widzi, że takiem prawem wasza dusza wejdzie w zająca.

— Tfy!

— Skoroście skórkami handlowali... może was jeszcze kiedy w nyk złapię.

— Wstydźcie się! paskudną gębę macie. Nie można z wami rozmawiać jak się należy.

— Bo też gadacie, nie wiadomo co.

I tak bez końca ciągną się w jednej i drugiej noweli rzeczy pyszne, na jakie prócz Junoszy mało który pisarz może się zdobyć.

* **Kilka słów o kraju** zwanym Brazylią i o tem dla czego tam naszych ludzi teraz ściągają, z dodatkiem przestróg i rad dla wychodźców. Nakładem komitetu wydawnictwa dziełek ludowych we Lwowie ul. Mochnackiego 24. Cena 15 cnt.

Jeżeli jest w ogóle możliwe perswazyą powstrzymać emigracyę chłopów do Brazylii, to niezawodnie bardzo skutecznym sposobem przeciwdziałania agitacyi rozmaitych firm eksportujących ludzi za morze, jest wierne przedstawienie stosunków, jakie panują w obiecanej ziemi brazylijskiej. Autor dziełka, wydanego właśnie przez komitet wydawnictwa książeczek ludowych, nie szczędził w swoim opisie jaskrawych kolorów dla odmalowania tego co chłop nasz musi przejść, ażeby się dostać do źródła wątpliwych rozkoszy zamorskich. Przy tem książeczka napisana jest bardzo ładnie i nawet niezależnie od sprawy emigracyjnej stanowi zajmującą lekturę geograficzną dla ludu. Wydział krajowy w uznaniu doniosłego wpływu, jaki takie dziełko może wywrzeć na ludność wiejską, polecił je osobnem rozporządzeniem do rozpowszechniania po wsiach.

* **Tygodnik ilustrowany.** Ostatni numer tego pisma zawiera dalszy ciąg znakomitej powieści Prusa p. t. „Faraon", artykuł p. Keniga p. t. „Przodownicy społeczeństwa", „Wiedza przyrodnicza w epoce starożytnej i średniowiecznej" przez M., „Wigilia św. Andrzeja" przez Neya, Przegląd teatralny, Kronikę żałobną i Kronikę powszechną. Wśród ilustracyi znajdujemy P. Stachiewicza „Ostatnie pożegnanie", przedstawiające pogrzeb górnika, rysunek St. Bergmana „Domorosły artysta" portret śp Ludwika Teichmana i w. i.

Rozmaitości.

— **Połów i przygotowanie sardynek.** Oto sardynka, rybka maleńka, pokryta łuską srebrnawobłękitną, *clupea sardina*, z rodzaju śledzi. Żyje stadami, składającemi się z niezliczonej ilości sztuk, a płodna jest nadzwyczajnie, kładzie bowiem po 5.000—6.000 jajek na raz. Zimą nikt nie ujrzy sardynki na powierzchni morza, bo rybka żyje wówczas na głębinach morskich, na powierzchnię nie wypływa tylko w lecie i w jesieni. Na wybrzeżach bretońskich pojawia się od maja do końca października. Pojawienie się pierwszych sardynek jest chwilą tak ważną w Bretonii, iż pierwsza barka, która przyniesie wiadomość o nadpływaniu stad, otrzymuje od właścicieli fabryk gratyfikacyę

Sardynki na wybrzeżach bretońskich poławiane są w barkach, kierowanych przez 6—8 ludzi. Są to barki żaglowe. Osobne sieci służą do połowu sardynek, z jednej strony zaopatrzone w szereg korków, które brzeg sieci utrzymują na powierzchni morza, z drugiej w szereg ciężarków ołowianych, mających za zadanie utrzymywać sieć prostopadle w wodzie. Ongi robieniem sieci zajmowały się stare kobiety bretońskie, dziś maszyny wyręczają rękę ludzką. Sieć sardynkowa ze wszystkiemi przyborami kosztuje 70—80 fr.

Wyjazd barek na połów sardynek jest wydarzeniem dla całej wioski radosnem. Żagle trzepocą na wietrze. Flotylla puszcza się na głębiny i znika na skraju horyzontu. Wyćwiczeni rybacy poznają bardzo łatwo miejsca pobytu sardynek. W czas pogodny niezawodnym znakiem jest szlak srebrnawy, ciągnący się na powierzchni morza. Niekiedy jednak barki powracają z niczem, nie złowiwszy ani jednej sardynki. Dzieje się to wówczas, gdy w morzu ukażą się t. zw. *bekamy*, najwięksi wrogowie sardynek, które wówczas nie wypływają na powierzchnię, lecz krążą w głębokościach, niedostępnych dla siatki rybaka Natychmiast po znalezieniu stada żagle bywają opuszczone, maszty składane. Po rozwinięciu i zapuszczeniu sieci właściciel statku rzuca na siatkę przynętę. Jest to ikra stokfisza, sprowadzona z Norwegii Po kilku minutach kulki powietrza, pękające na powierzchni wody, wskazują, iż siatka pełna jest rybek. Dobry połów jednorazowy daje z jednej siatki 5.000—6.000, niekiedy nawet 20.000 sardynek.

Natychmiast po ukończeniu połowu i zapełnieniu barki statek rozwija żagle i płynie pospiesznie do najbliższego portu, bo pierwsze barki otrzymują ceny najwyższe. Na brzegu stoją już wysłańcy fabryk, którzy nadpływającym głoszą ceny, zmieniające się co chwila. Natychmiast po sprzedaniu ładunku barka powraca na morze, bo sardynki poławiane są tylko we dnie. Cena sprzedażna tysiąca sardynek zależy od gatunku i wielkości ryb: waha się pomiędzy 1 fr. 50 c. a 50 frankami. Niekiedy połowy są tak bogate, że fabryki czyli tak zw. *fritures* odmawiają kupna, a wówczas całe masy sardynek idą na nawóz, mówiąc nawiasem, doskonały.

Rozpoczyna się teraz czynność pakowania sardynek do pudełek hermetycznie zamkniętych. Po przywiezieniu do fabryki sardynki przedewszystkiem myte są w wodzie morskiej, a później solone na wielkich stołach. Następnie po oprawieniu i oczyszczeniu ucinają im główki, znowu kładą do wody morskiej, silnie osolonej, na godzinę i raz jeszcze myją. Następnie odbywa się proces suszenia na słońcu, co trwa około godziny, lub przy ogniu, co ciągnie się dłużej znacznie, bo około czterech godzin.

Rozpoczyna się gotowanie sardynek w oliwie, najlepszej oliwie z oliwek południowych. Gotowanie trwa 2 do 4 minut, zależne od wielkości ryby. Przesycone oliwą sardynki układane są niezwłocznie w pudełkach i przechodzą do rąk robotników, którzy lutują pudełka hermetycznie. Pudełka kładzie się jeszcze na godzinę do wody wrzącej, która unicestwia wszelkie zarodki fermentacyi. Średnio fabryka bretońska pakuje dziennie po 10.000 sardynek.

Cała niemal ludność rybacka na wybrzeżach bretońskich żyje wyłącznie z połowu sardynek. Ogniskami tego przemysłu są przeważnie departamenty: Niższej Sekwany, Wandei, Morbihan i Finisterre. Concarneau i Douarnenez są najważniejszymi pod tym względem portami, co rok bowiem wysyłają do 600 barek na morze. Później idą: Audierne, le Croisic, Port-Louis, Belle-Ile, Quiberon. Według ostatnich danych statystycznych przemysłem tym zajmuje się 5000 barek z 30 000 ludzi, razem zaś z fabrykami sardynka daje utrzymanie 150.000 ludzi, zarówno marynarzom jak wieśniakom, którzy pracują przy połowie w charakterze majtków i w fabrykach przy pakowaniu. Rybacka ta ludność bretońska tworzy, rzec można osobną rasę, bardzo ciekawą dla badacza, a zwaną w okolicach Concarneau „gas de neve". Jedna barka kosztuje 1500 do 2000 franków, a może być używaną co najmniej przez przeciąg lat dwunastu. Połów jednorazowy może dać barce 25 do 30 fr. dochodu. Ale, jak się rzekło, często rybacy wracają z niczem. Smutne są wtedy miny żon, oczekujących na brzegu.

W fabrykach pracują żony i córki marynarzy lub wieśniaczki t. zw. sardynierki, płatne po 1 fr. 50 ct. za tysiąc rybek przyrządzonych i zapakowanych. Niewiasty, pracujące w fabrykach, stanowią arystokracyę miejscową; noszą nawet osobne czepki białe, przypominające formą główkę sardynki. Młody marynarz szuka żony przedewszystkiem wśród sardynierek, a jeżeli już z wieśniaczką z okolicy żenić się musi, to czyni to z bólem serca, jako ofiara mezaliansu.

Jakże smutno jest na wybrzeżach bretońskich, gdy sardynki nie dopiszą, a połowy są chude! Fabryki, aby dać zarobek personelowi roboczemu, poświęcają się wówczas pakowaniu makreli. Niepodobna sobie wyobrazić nędzy, jaka zapanowałaby na tych wybrzeżach, gdyby sardynki z jakichkolwiek przyczyn nagle zaniechały zwyczaju pojawiania się na wodach bretońskich, zwłaszcza w okolicach Morbihan i Finistere, gdzie przygotowywanych bywa corocznie $^4/_5$ produkcyi sardynek całego świata.

I na barkach rybackich panuje przygnębienie w chwilach bezrybia. Wyjeżdżają wprawdzie barki i zajmują się połowem szprotów, rybki podobnej do sardynki, ale bez porównania mniej smakowitej i mniej cenionej. Czynią to rybacy w ostateczności i uważają jako pewne poniżenie swojego stanu, tak samo, jak czułby się poniżony strzelec starej daty, przywykły do grubego zwierza, gdyby mu los kazał poprzestawać na marnym zającu lub, co gorsza na wróblu, na polach jesienią spasionym.

SPORT.

Wyścigi w Krakowie, czerwiec 1897.

„Krakowskie Derby". Nagroda 40.000 koron, z których 32.000 koron zwycięzcy, 6000 kor. drugiemu, 2000 koron trzeciemu koniowi. Dla trzyletnich urodzonych na kontynencie ogierów i klaczy. Meta 2400 metrów. Waga: ogiery 58 kg., klacze 56 i pół kg. Konie wyhodowane w Galicyi albo Cesarstwie Rosyjskiem 5 kg. mniej. Wpisowe za każdego mianowanego konia 100 koron. Za każdego na liście mianowanych po 1 maja 1896 pozostawionego dalsze 200 koron, za każdego na liście mianowanych po 15 grudnia 1896 pozostawionego dalsze 150 koron, za każdego na liście mianowanych po 1 kwietnia 1897 pozostawionego dalsze 200 koron. Czwarty koń otrzymuje wpisowe napowrót, resztę wpisowego do kasy Towarzystwa. 100 podpisów, albo nie ma biegu, jednak Dyrekcya Towarzystwa międzynarodowych wyścigów konnych jest uprawniona przy mniejszej liczbie podpisów bieg w mocy utrzymać. W takim razie nastąpi w tygodniowym kalendarzu wyścigowym do 10 stycznia 1896 roku odnośne oświadczenie.

Mianować do 15 grudnia 1895 r.

„Nagroda Dyrekcyi" 10.000 koron, z których 8000 koron zwycięzcy, 2000 koron drugiemu koniowi. Dla 2-letnich ogierów i klaczy wszystkich krajów. Meta 1100 metrów. Wpisowe za każdego mianowanego konia 50 koron, za prawo brania udziału w biegu po 9 maja 1896 r. dalsze 100 kor., za startujące konie dalsze 150 koron. Waga 56 kg. Klacze półtora kg. mniej. Konie, które żadnego biegu o nagrodzie wartości najmniej 4000 koron nie wygrały, 2 kg. mniej, konie, które żadnego całkiem biegu nie wygrały (Maiden) 3 i pół kilogr. mniej. W Galicyi, Królestwie Polskiem albo Rosyi wyhodowane konie prócz tego 3 kg. mniej. Zwycięzca biegu o nagrodzie wartości najmniej 6000 koron 2 i pół kg., o nagrodzie wartości 10.000 koron i powyżej 5 kg. więcej. Angielskie i francuskie konie prócz tego 3 kilogr. więcej. Trzeci koń otrzymuje swoje wpisowe napowrót, reszta wpisowego do kasy Towarzystwa.

Mianować do 1 marca 1896 r.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 2 grudnia.

(Z.) Pojutrzejszy dzień wielkiej rozpłaty, jeżeli w ostatniej chwili nie zajdą jakie niespodzianki, przejdzie zapewne zupełnie spokojnie. Wielkie firmy bankowe bowiem porobiły zawczasu starania, ażeby nie było żadnych znaczniejszych sprzedaży egzekucyjnych i zobowiązały się przyjąć na się zobowiązania tych spekulantów, którym trudno będzie rozwikłać swoje rachunki. W ten sposób likwidacyę można uważać już jako ostatecznie przeprowadzoną, uspokojenie zatem widoczne było dziś na całym targu, ruch znacznie się ożywił, i w wielu kategoryach walorów popyt przewyższał podaż. Zwłaszcza na targu walorów lokacyjnych, specyalnie rent, był popyt tak znaczny, że wprost zabrakło materyału. Dzięki tym zakupnom podniosła się dziś wspólna renta po raz pierwszy powyżej pari. Także bankowe akcye, z wyjątkiem anglosów, uzyskały dość znaczne zwyżki. Tendencya giełdy berlińskiej i paryskiej była dziś także przyjazna.

Ostatnio notowania:

Kredyty austr. 368·25, węgierskie 439·—, Anglobanki 163 50, Uniony 313·50, Bankvereiny 147.—, Länderbanki 241·50, Ludwiki 218 75, Czerniowieckie 292·50, Elbethale 270·50, Renta papierowa 100·15, srebrna 100·15, austryacka złota 120·95, 4% austr. renta wal. kor. 99·75, węgierska złota 120·75, 4% węgierska renta wal kor. 98·10, dukat 5·70—, 20-frankówka 9·59½, marki 11·80, ruble 1·29¾.

Wiedeń 2 grudnia. Spirytus 15·20—15·40

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 2 grudnia. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 1617, węgierskich 2513 i niemieckich 1355, razem 5485 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 29 do 32, dobre ciężkie 33 do 35, osobliwe wyjątkowo 36 do 38 zł., za buhaje i krowy 23 do 32 zł. wszystko na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, dom komisowy bydła, Wassergasse 23.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 4 grudnia. Wbrew dotychczasowej etykiecie dworskiej, wedle której zaproszenia na obiady dworskie otrzymywali tylko członkowie prezydyum Rady państwa tudzież ci posłowie, którzy są tajnymi radzcami albo szambelanami lub członkami Delegacyi, zapraszani będą odtąd na obiady dworskie wedle oznaczonego z góry porządku wszyscy wogóle posłowie do Rady państwa bez względu na stanowisko, jakie zajmują.

Wiedeń 4 grudnia. Rada państwa obradowała wczoraj nad ustawą o inspektorach górniczych. W dyskusyi zabierało głos wielu posłów tudzież minister rolnictwa hr. Ledebur, który oświadczył, że rząd usposobiony jest jak najsympatyczniej dla tej sprawy. Projektowana ustawa stwarza 25 nowych posad inspektorów górniczych, z tych wejdzie w życie 11 jeszcze w ciągu roku 1896. Ustawa ta nie jest wprawdzie zupełnie wystarczająca, jednakże usunie wiele wadliwości. Zamiarem rządu jest zreformować całą ustawę górniczą i w tym celu zwoła minister w danym razie specyalną ankietę, w której wezmą udział także reprezentanci izb handlowych. Na razie celem uspokojenia opinii publicznej pragnie rząd, ażeby i ta ustawa przyszła do skutku, ale tylko taka ustawa, któraby nie uwłaczała powadze władz cesarskich i nie podkopywała jej. Inspektor górniczy musi być przyjacielem i doradzcą robotników i rzecznikiem ich słusznych żądań, musi w nich szanować godność człowieczą, ale też musi ich pouczać. Przedsiębiorcy górniczy nie bez racyi uważani bywają niekiedy za nieprzyjaciół robotników. Powinni oni z jednej strony umieć zjednać sobie zaufanie robotników, a z drugiej strony umieć powstrzymywać importowane tak często z zewnątrz podżeganie i rozbudzanie niektórych namiętności. (Oklaski). Na tem przerwano debatę. Następne posiedzenie Izby odbędzie się jutro.

Peszt 4 grudnia. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu w toku debaty budżetowej atakował dep. Ugron ostro ministra wojny za to, że fortyfikacye na Bukowinie i w Siedmiogrodzie są wrzekomo niedostateczne tudzież ministra spraw zagranicznych hr. Gołuchowskiego za jego nieżyczliwe dla Turcyi zachowanie się w kwestyi wschodniej. Prezes gabinetu br. Banffy odpierał te zarzuty i oświadczył, że pora obecna nie nadaje się jeszcze do malowania obrazu wojny i to takiego, jaki może wypaść w najniekorzystniejszym dla Węgier wypadku. Na polu polityki zagranicznej widzi p. Ugron same tylko strachy. Br. Banffy zapewnia jak najstanowczej, że Ugron myli się obwiniając ministeryum spraw zagranicznych, iż żywi wobec Turcyi bardzo niebezpieczne i złośliwe plany. Mówca przypomina ostatnie oświadczenie, złożone przez hr. Gołuchowskiego, że interes Austro-Węgier wymaga, ażeby w Turcyi i w ogóle na Wschodzie przywrócono spokój i porządek i zabezpieczono *status quo.* W końcu zapewnił br. Banffy jak najkategoryczniej, że ministeryum spraw zagranicznych uwzględnia w równej mierze interesa Austryi i Węgier.

Konstantynopol 4 grudnia. Były gubernator Krety, Kostakio Antopulo-basza, mianowany został ambasadorem tureckim w Londynie.

Oedenburg 4 grudnia. W miejscowości Fertö Szent Miklos wybuchły rozruchy antiżydowskie. Tłum napadł na izraelicką kuchnię ludową, połamał drzwi, okna i ławki, następnie wybito szyby w wielu mieszkaniach żydowskich, a do jednego nawet strzelono. Szkołę zamknięto.

Rzym 4 grudnia. W parlamencie toczyła się wczoraj w dalszym ciągu debata nad polityką rządu. — Crispi bronił tej polityki i wykazywał, że trójprzymierze nigdy jeszcze nie było tak silne, jak obecnie. Prowadząc na Wschodzie wspólną akcyę z innemi mocarstwami, spełniają Włochy tylko swój obowiązek. Co do ostatnich objawów irredentyzmu włoskiego w Austryi i Francyi, oświadcza Crispi, że temi sprawami rząd włoski wcale zajmować się nie może, gdyż dotyczą one wyłącznie wewnętrznej polityki odnośnych państw. Następnie oświadczył Crispi, że socyalizm trzeba zwalczać, gdyż nie wiadomo, gdzie się kończy socyalizm, a zaczyna anarchia.

Izba 267 głosami przeciw 131, przyjęła porządek dzienny, pochwalający politykę rządu

Konstantynopol 4 grudnia. Sprawa przepuszczenia przez Dardanele drugich okrętów stacyjnych, dotychczas nie jest załatwiona. Gabinety mocarstw europejskich stanowczo odmówiły prośbie byłego w. wezyra Saida baszy i ministra spraw zagranicznych Tewfika baszy o odstąpienie od żądania wpuszczenia drugich okrętów stacyjnych.

Konstantynopol 4 grudnia. Obiega tu pogłoska, że ambasadorem tureckim w Berlinie zostanie dotychczasowy ambasador w Paryżu Zia basza, a na jego miejsce przyjdzie do Paryża Munir bej, urzędnik ministeryum spraw zagranicznych, syn Dżellal edina.

Londyn 4 grudnia. Do dziennika *Daily News* donoszą z Rzymu, że podobno we wszystkich arsenałach włoskich pracują gorączkowo, ażeby całą flotę przygotować na wszelkie ewentualności. Osobne eskadry stoją w portach Gaeta i Spezia, a krzyżownik „Piemont" otrzymał rozkaz odpłynięcia na wody lewantyńskie.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 3 grudnia. M. Skibniewska i J. hr. Giżycki z Podola ros. J. Kellermann z Kańczugi. A. hr. Piniński z Suszczyna. Dr. Z. Korotkiewicz z Krakowa. P. Burdig z Besarabii. Dr. Fr. Sobolewski i St. Tokarski z Brodów. J. Munk z Tylawy.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Nie będąc w możności szczegółowo podziękować wszystkim przyjaciołom i znajomym śp. Antoniego Filipowskiego, c. k. profesora gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie, którzy w najsmutniejszym dla nas obrzędzie złożenia zwłok Jego na wieczny odpoczynek łaskawie udział wzięli, składamy na tej drodze Przewielebnemu duchowieństwu obu obrządków, W. księżom kanonikom Lenczewskiemu i Lewickiemu, W. księżom katechetom Juganowi, Lehmanowi i Lepkiemu, Wp. Biesiadzkiemu, dyrektorowi gimn. Franciszka Józefa i wszystkim WWpp. profesorom, nauczycielom, kolegom, przyjaciołom i znajomym ś. p. zmarłego, młodzieży szkolnej i wszystkim a wszystkim uczestnikom w pochodzie żałobnym nasze głębokie, serdeczne, rzewne i najszczersze podziękowanie.

Marya z Niżałowskich Filipowska
z rodziną.
Dr. Walery Filipowski
z rodziną.

Pogłoski, jakobym był wspólnikiem Wgo Szymona Skarbek Malczewskiego z Kowalowej, są mylne i bezpodstawne i oświadczam niniejszem, że ani z majątkiem, ani z kopalnią nafty w Kowalowej nie mam nic wspólnego do czynienia.

Bronisław Sadowski.

Wiedeń 3 grudnia. Notowania wieczorne. Kredyty 371·50, węgierskie kredyty 440.50, anglobank 165·25, bankverein 149·00, unionbank 315.00, länderbank 242 75, staatsbahny 367.75, lombardy 101.25, elbethale 271.75, akcye tytoniowe 193.00 rima 254.00, alpiny 86.75, renta majowa 101.15, węg. renta złota —·—, austr. renta koronna -.—, losy tureckie 53.50 węg. renta koronna 98.95. marki 59.15, ruble 129.75.

Lwów dnia 4 grudnia. (Z Izby handlowej.)

Akcye za sztukę. Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 217— do 221·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 291.— do 29[illegible]—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 414.— do 424.— Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.— Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.—.

Listy zastawne za 100 zł. Banku hipot. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc. prem. 109 50 do 110 20, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100·— 100 70, Tow. kred. kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100·10 do 100·80 Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. [illegible] do 97·2[illegible] Tow. kred. ziem. 4 proc. (I emisya) 98.— do 98·70 4 proc. [illegible] w 41 i pół latach 97 40 do 98.10 4 proc. los. w [illegible] lat. 97 40 do 98·10.

48)

MAFFIA

POWIEŚĆ

przez

G. Le Faure'a

(Tłumaczenie baronowej Zofii Hartinghowej).

(Ciąg dalszy).

— Jak to?! — zawołała w końcu — pan Nicholls wie, że ten Santa Capella jest...

Jaunet schwycił ją porywczo za rękę.

— Ostrożnie, pani, na Boga!... — szepnął. — Zapominasz, że ten człowiek jest tam...

— Więc i o tem pan wiesz?...

— W naszym fachu, pani, wie się wszystko — odparł agent skromnie.

I zmieniając ton, dodał:

— Mówiłaś więc pani..

— Że to, co mi pan mówisz o tym człowieku, jest w takiej sprzeczności z tem, co mi pisze pan Nicholls...

— Pozornie tak... Lecz niech pani będzie przekonaną, że w gruncie zgadza się zupełnie z sobą i że rada, jaką pan Nicholls daje pani, ma tylko na celu dowiedzenie ci prawdy odnośnie do Santa Capelli.

Pomimo tych zapewnień, młoda dziewczyna nie była jeszcze przekonana.

— Więc trzeba, abym powiedziała?...

— Tak, pani.

— I kiedyż się skończy ta wstrętna komedya?

— W dzień ślubu.

— Jak to! — zawołała przerażona — czyż trzeba się posunąć aż tak daleko?

— To jest nieuniknione, pani.

Ruchem pełnym przygnębienia miss Smither objęła oburącz czoło.

— Ha! kiedy nie ma innego wyjścia!... — szepnęła.

Jaunet, widząc ją tak znękaną, usiłował dodać jej odwagi.

— Czy być może?! — zawołał. — I to pani, której energię i samodzielność wysławiał mi p. Nicholls, tak prędko upadasz na duchu?

— Bo przyznam się panu, że jeżeli ten człowiek jest tem, co mówicie, to ja się go boję.

— Bać się jego?... pani? Ależ to nie on jest niebezpieczny, tylko tamci...

— Którzy tamci? O kim pan mówisz?

— O tych, którym on rozkazuje, lecz których sam słuchać musi, o stowarzyszeniu łotrów najgorszego gatunku, jednem słowem o wspólnikach Maffii.

Miss Mary szybko zatknęła usta chusteczką, aby stłumić okrzyk zgrozy.

— Maffia!... — wybełkotała blademi, jak kreda ustami.

Jaunet po ojcowsku ujął ją za drżącą dłoń.

— Uspokój się, pani, proszę — rzekł. — Osobiście nie potrzebujesz się pani niczego obawiać. Santa Capella kocha cię, a jego miłość jest najlepszą rękojmią twego bezpieczeństwa.

Młoda dziewczyna wstrząsnęła się cała.

— On kocha mnie?!... — szepnęła z niewysłowionym wstrętem.

— O ile mogę sądzić... tak. To też możesz pani grać na strunach tej miłości, a gdyby ci groziło najmniejsze niebezpieczeństwo, znajdę się u twojego boku, aby cię ostrzedz i uchronić.

A widząc ją jeszcze wahającą się i niezdecydowaną, dodał:

— Wspomnij pani męki, jakie przeszłaś, sądząc, że narzeczony twój nie żyje. Przypomnij sobie, że przysięgłaś pomścić krew jego, gdy morderca dostanie się w twoje ręce.

Palce Mary wpiły się w dłoń agenta.

— A tym mordercą jest... — syknęła bez tchu prawie.

— Santa Capella... tak. Ale...

— Masz pan na to dowody?

— Nie; przynajmniej nie materyalne. Bo co się tyczy dowodów moralnych, to nie trzeba na to być jasnowidzącym, aby odgadnąć, że nikt prócz niego nie miał interesu zgładzić ze świata tego, którego pani kochałaś i który był zaporą pomiędzy Maffią a waszymi milionami.

Miss Smither ze spuszczoną na piersi głową rozważała w milczeniu słowa agenta, zdając się hartować swoją wolę, aby powziąć stanowczą jakąś decyzyę. W końcu podniosła twarz marmurowej bladości, na której paliły się krwawe wypieki. W oczach jej zabłysł ogień niezłomnego postanowienia i nieustraszonej odwagi, wrodzonej tej walecznej, dziewczęcej naturze.

— To dobrze — rzekła czystym i spokojnym głosem. — Powiedz pan panu Nichollsowi, że wszystko, czego żąda, będzie zrobione.

A gdy agent nisko skłaniał przed nią głowę na pożegnanie, zapytała:

— A propos... jak się pan nazywasz?

— Jaunet, do usług pani.

Gdy się oddalała przywołał ją napowrót.

— Czyby pani nie była łaskawą przykazać swojemu murzynowi, aby mnie wpuszczał do domu o którejbądź porze wypadnie?

— Ale możesz pan przecież mnie wywołać?

— Może mi wypaść wejść niespodziewanie, gdy pani będziesz zajętą lub nieobecną.

Miss Mary zadzwoniła. Herkules zjawił się niebawem.

— Widzisz tego pana? Poznasz go? — rzekła. — Gdy się tutaj zjawi, wpuścisz go domu i pozwolisz mu przebywać w nim spokojnie, nie uprzedzając mnie nawet o tem.

Jaunet uśmiechnął się.

— Nie — rzekł. — Herkules nie pozna mnie, bo my przy pracy nie mamy zwyczaju pokazywać się ludziom we własnej skórze. Trzeba więc, abyś mi pani dała jakiś przedmiot... pierwszy lepszy, za którego okazaniem ten poczciwiec mógłby sprawdzić moją tożsamość.

Piękna panna zdjęła z palca pierścień ozdobiony brylantem i szafirem.

— Oto jest — rzekła, podając go agentowi. — Gdy Herkules zobaczy ten sygnet, pozwoli panu gospodarować po całym domu, jak u siebie.

Jaunet wsunął pierścionek na palec.

— Pozwala pani? — zapytał. — To jedyny sposób, żeby go nie zgubić.

— Zrób mi pan przyjemność i przyjmij odemnie tę małą pamiątkę, jako dowód wdzięczności za usługi, jakie mi chcesz wyświadczyć — prosiła uprzejmie panna Smither.

Jaunet podziękował głębokim ukłonem.

— Więc to rzecz ułożona, co się tyczy tego... tam?... — spytał, głową wskazując drzwi salonu.

— Bądź pan spokojny — odparła panna stanowczo. — Pan Nicholls będzie ze mnie zadowolniony.

Z progu Jaunet zawrócił raz jeszcze.

— A ślub... w najkrótszym terminie, nieprawdaż?

— To rzecz postanowiona.

Zbiegając ze schodów, Jaunet zacierał ręce z radości.

— A to mi idzie! To idzie! — rozmyślał w duchu. — Tym razem Luiggi Merelli zje djabła, jeżeli się nam wymknie z rąk.

Przechodząc przez sień, skrzyżował się z wchodzącym jakimś człowiekiem.

— Hę! co to jest? — szepnął zdumiony, niedowierzając oczom swoim.

Obrócił się, ażeby powieść wzrokiem za nowym przybyszem.

— *Sapristi!* — bąknął. — Tegoby jeszcze brakło! On tutaj! Więc chyba także należy do bandy..

Ale po chwili potrząsnął przecząco głową.

— To nieprawdopodobne. Musiałby na to pogodzić się z nią. Nie, nie. To był z gruntu uczciwy człowiek. Ale w takim razie... cóż? Przypadek? traf? Toby było zaiste coś fenomenalnego.

Wzruszył ramionami i poszedł dalej, ale opodal zatrzymał się znowu, aby popatrzeć na człowieka, który rozmówiwszy się z miejscowym strzelcem, wszedł na schody.

— To jego chód — rzekł sam do siebie, drapiąc się energicznie w ucho. Chwilę stał w miejscu nieruchomy, wahający.

— Nie; muszę wyjaśnić tę zagadkę — szepnął w końcu.

I podszedłszy do strzelca, zapytał:

— Przepraszam cię, mój przyjacielu, ale czy ten człowiek, który tylko co przechodził tutaj, nie pytał o pana Rodrigeza?

Strzelec zmierzył go wzrokiem od stóp do głowy.

— Nie — odparł — przyszedł odwiedzić panie Smither.

— Ha! — jeżeli tak — rozmyślał Jaunet, oddalając się — to ten człowiek widocznie należy do bandy. Ale w takim razie to nie on... chyba żeby się był djabelnie zmienił.

Wyszedłszy z hotelu i spostrzegłszy naprzeciwko kawiarnię, zasiadł na tarasie.

— Zawsze jest dobrze wiedzieć, czego się trzymać — powiedział sobie w duchu.

I zapaliwszy cygaretkę, popijał zwolna jakiś chłodzący napój, nie spuszczając oczu z bramy przeciwległego domu.

Tymczasem obcy człowiek, który go tak zaintrygował, wszedłszy pośpiesznie na schody, znalazł się w apartamencie pań Smither w chwili, gdy miss Smither z ręką na klamce gotowała się wejść do saloniku, gdzie zostawiła babkę z gościem.

Spostrzegłszy wchodzącego, wydała okrzyk radości i rzuciła się ku niemu.

— Pan! nareszcie! — zawołała drżącym głosem. — Wyczekuję cię od świtu.

— Niech pani daruje — odparł — nie mogłem przybyć wcześniej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny, Wacław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.